

KAMENIA KAMENIA

LUBLIN

30.IV.1964

Nr 8 (294)

ROK XXXI

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN - BIAŁYSTOK - KIELCE - RZESZÓW

ŚWIĘTO NARODU

WALDEMAR BABINICZ

Z NANY polityk lat międzywojennych, trzykrotny premier, znakomity zresztą matematyk i uczyony Kazimierz Bartel, tak oto sformułował pewne swoje poglądy po demonstracjach pierwszomajowych w Warszawie:

„Jestem przeciwko wszelkim czynnym wystąpieniom organizowanym przez tak zwany front jednolitofrontowy... Co się zaś tyczy owych nieszkodliwych haseł, w rodzaju „oświata dla mas”, „szkoły dla dzieci robotników i chłopów”, „opieka lekarska dla świata pracy” itp., są to utopijne hasła, o których można sobie niekiedy pomarzyć, jak marzył Mickiewicz o swoich księgach. Nikt przecież tego poważnie nie traktuje, nawet ci, którzy hasła te głoszą, a już najmniej, którzy je noszą na paskach. Każdy bowiem rozsądny człowiek wie, że jest to program na setki lat, że w tym stuleciu kraj nasz zdoła osiągnąć zaledwie poziom średnio rozwiniętych krajów europejskich...”

Kiedy sobie prof. Bartel gawędził w ten sposób z dziennikarzami, ponad 5,5 miliona jego rodaków nie umiało czytać i pisać, zaledwie 13,5% młodzieży w wieku od lat 14-17 pobierało naukę w szkołach średnich i zawodowych, 73% ogółu uczniów szkół wiejskich uczęszczało do takich „zakładów naukowych”, w których najwyższą była klasa czwarta; co siódmy nauczyciel był bezrobotny; łącznie z prof. Bartlem było 907 samodzielnych pracowników nauki, na 10.000 ludności przypadało 12,9 lekarzy i 69 łóżek w szpitalach.

Trudno się więc dziwić ówczesnemu premierowi, iż „hasła jednolitofrontowe” uważał w tej sytuacji za „fantazję, księżycowe pomysły, chwytły demagogiczne, w które nie wierzyła i nie mogła wierzyć klasa robotnicza”.

Zważmy, że dane przytoczone wyżej pochodzą z rocznika statystycznego za rok 1938, a więc dokładnie w dwudziestą rocznicę uzyskania niepodległości.

Ta katastrofalna sytuacja nie przeszkadzała zresztą ówczesnym politykom roić o pozyskaniu kolonii, popierać działalność groteskowej Ligi Morskiej i Kolonialnej, organizować zjazdy szlachty zaściankowej, konkursy hipiczne szwoleżerów i sądy honorowe dla oficerów popełniających mezaliansy...

Profesora Bartla, który był senatorem w ostatnich latach przed wybuchem wojny, zamordowali hitlerowcy. Czy ta tragiczna śmierć nie jest dostatecznie wymowna? Kto ponosi za nią odpowiedzialność? Za nią i za wszystkie nasze klęski od r. 1918, łącznie z martyrologią narodu?

(Dokończenie na str. 2)



Foto Jan Trembecki

A sztandar zabłysnął*

SARA
NOMBERG - PRZYTYK

W POCZĄTKU 1934 r., wykorzystując pewne odprężenie w sytuacji wewnętrznej Polski, komuna lubelska zaczęła przygotowania do akcji o niektóre prawa więźniów politycznych. Walka miała się toczyć o materiały piśmienne, książki, o dwugodzinny wolny spacer. Przewidziano rozpoczęcie akcji silnym akcentem obchodów pierwszomajowych. Formy walki miały być różne, przy tym miały być one przerywane dniami, gdy w ogóle akcji żadnych nie było, gdy wszystko toczyło się normalnym trybem. Taką akcją w komunach więziennych nazywano „przeplatankę”, a więc raz nie wychodzimy na spacer na znak protestu, raz schodzimy ze spaceru po 15 minutach i składamy protest. Już to nie przyjmujemy posiłku, to znów schodzimy wszystkie z sali, gdzie odbywają się widzenia. Innego znów dnia składamy protest na apelu i domagamy się przybycia do więzienia prokuratora. Najostrzejszym wystąpieniem miało być niestawanie na apelu.

* Fragment wspomnień, które ukażą się wkrótce nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że wszystkie wystąpienia odbywały się jednocześnie w każdej celi politycznej, na oddziale męskim i żeńskim, to jasną rzeczą są staję, że taka akcja przysparzała administracji wielu kłopotów.

Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że nasze wystąpienia wywołają natychmiastową odpowiedź ze strony administracji, że posypią się na nas represje, ale wiedzieliśmy wszystkie, że bez walki nie zdołamy utrzymać nawet tych resztek praw więźniów politycznych, któreśmy jeszcze mieli, że zostaniemy zrównani z więźniami kryminalnymi.

Plan akcji dostaliśmy od Zarządu Komuny, który w Lublinie mieścił się w oddziale męskim. Przedyskutowaliśmy go najpierw na zebraniu organizacji partyjnej, a potem dopiero na zebraniach ogólnych w celi. Nasze uwagi posyłałyśmy towarzyszącej z ZK. Gdy plan akcji został ostatecznie zatwierdzony, nie wolno go było już zmieniać w żadnym szczególe.

Jeszcze dwa miesiące przed 1 Maja wiedzieliśmy już, że będzie nam potrzebne czerwone płótno na sztandar.

Na widzeniu udało mi się powiedzieć o tym bratu. Wiedziałam, że mój brat coś wymyślił, ale co, o tym nie miałam pojęcia. W marcu dostałam jak zwykle paczkę, a w niej pasek do pończoch. Od razu domyśliłam się, że w pasek wszyte jest czerwone płótno. Oddziałowa niczego się nie domyśliła i pasek przyniosłam do celi. Nikt prócz trójki celowej o czerwonym płótnie nie wiedział.

Na sztandarze miały być wyszyte dwa hasła: „Niech żyje 1 Maja” i „Precz z faszystowskim regulaminem więziennym”. Sztandary wyszywała oczywiście Szurka. Robiła to tak, by nikt o tym nie wiedział, gdzieś w kącie celi. Każdy zdawał sobie sprawę z tego, że Szurka coś robi, ale przyzwyczajone do konspiracji nie pytałyśmy nawet co to takiego.

Pamiętam jak teraz — 30 kwietnia wieczorem, po apelu, byliśmy już pewne, że nikt do nas nie przyjdzie, więc Szurka wyciągnęła czerwony sztandar, by go pokazać wszystkim. Nagle rozległ się trzask otwieranych

(Dokończenie na str. 7)

DWUDZIESTOLETNI DROGA

EUGENIUSZ ZGNILEC

Artykuł przewodniczącego PMRN m. Zamościa zawiera konkretne dane świadczące zarówno o poważnych osiągnięciach miasta w dziedzinie oświaty, jak i o dynamice rozwoju wszystkich dziedzin jego życia gospodarczego.

POCZĄTKI nowego życia w Zamościu nie były łatwe. Poniósł on duże straty, nie tyle w konsekwencji bezpośrednich działań wojennych w latach 1939 i 1944, ile przede wszystkim pięcioletniej okupacji hitlerowskiej. Ale dwadzieścia lat intensywnej pracy i wydatkowania środków pieniężnych na rozwój niemalże we wszystkich dziedzinach gospodarki miejskiej spowodowały głębokie, wszechstronne i nieodwracalne zmiany. Dość powiedzieć np., że na koniec roku 1963 w jednostkach gospodarki społecznej zatrudnionych było 12.700 osób. Oznacza to, że w porównaniu z okresem międzywojennym zatrudnienie wzrosło ogółem o 273,5% (przy czym najwięcej ludzi pracuje w przemyśle, bo aż 4.500 osób).

Rozwinął się tutaj przemysł rolnospożywczy, reprezentowany przez nowo wybudowane Zakłady Mięsne, Chłodnię Składową, Zakłady Zbożowe, Przetwórnice Owoców i Warzyw; w trakcie budowy znajdują się także zakłady przemysłu rolnospożywczego, jak drugie obok istniejących Zakłady Jajczarsko-Drobiarskie, Fabryka Przemysłu Jajowego oraz Fabryka Pasz Tręściwych.

Obok przemysłu rolnospożywczego bardzo dużą rolę odgrywa w życiu gospodarczym miasta w dalszym ciągu rozwijający się przemysł meblarsko-drzewny. Rozbudowano Fabrykę Mebli, która w chwili obecnej jest jednym z największych zakładów przemysłowych miasta. Poza nią w budowie znajduje się nowa fabryka mebli. Powstała Spółdzielnia Stolarzy, a także zakład meblarski przy Zakładach Przemysłu Terenowego.

Poza wymienionymi dwoma przemysłami pewną rolę na miejscowym rynku pracy odgrywa także przemysł metalowy, którego największym reprezentantem jest zakład motoryzacyjny i zakład metalowy przemysłu terenowego. Istnieje też szereg punktów usługowych tej branży. Władze miasta i powiatu przy poparciu władz wojewódzkich podjęły przed rokiem intensywne zabiegi, aby w najbliższym 5-letnim planie zlokalizowany został na terenie miasta zakład kluczowy przemysłu maszynowego o zatrudnieniu do 2.000 osób.

W omawianym okresie nastąpił także rozwój spółdzielczości pracy. Są to spółdzielnie budowlane, krawieckie, szewskie i inne o bardzo różnorodnej specjalności.

Na przestrzeni lat dwudziestu przemysł był najbardziej dynamiczną dziedziną życia gospodarczego Zamościa. Dzięki niemu urosła nowa dzielnica, położona w północno-wschodniej części miasta, nastąpił ilościowy wzrost klasy robotniczej, wzrosło znaczenie Zamościa w województwie. Przemysł był czynnikiem, który powodował rozwój innych dziedzin gospodarki miejskiej i jest tym czynnikiem nadal.

Obok przemysłu najznaczniejsze sukcesy notuje się w zakresie transportu i komunikacji oraz łączności. Powstała tutaj wybudowana od podstaw zajezdnia, powstały warsztaty Państwowej Komunikacji Samochodowej, obejmujące swym zasięgiem rejon kilku powiatów. Spółdzielnia „Autonaprawa”, która przez wiele lat była w tym rejonie jedynym uspołecznionym przewoźnikiem osób, przeżywa po raz wtóry młodzież, a związane to jest z wybudowaniem kosztownym kilku milionów złotych nowej zajezdni i warsztatów oraz zwiększeniem i unowocześnieniem taboru samochodowego.

Z punktu widzenia interesów mieszkańców miasta największym osiągnięciem w tej dziedzinie jest zorganizowanie i sprawne funkcjonowanie komunikacji miejskiej, która posiada 15 autobusów kursujących na 7 liniach.

W roku 1964 autobusy tej komunikacji przewiozły 2.863.000 pasażerów.

Wybudowano też nową pocztę i centralę automatyczną, co pozwoliło na kilkakrotny wzrost liczby abonentów telefonicznych w porównaniu z okresem przedwojennym i ułatwiło znacznie korzystanie z telefonów.

A handel hurtowy i detaliczny miasta? Zlokalizowano tutaj szereg hurtowni o zasięgu ponadpowiatowym. Do nich należą: Podhurtownia WZGS, WPHS, Centrala Tekstylna i Odzieżowa, „Arged”. Jednostki te otrzymały w większości nowe pomieszczenia magazynowo-składowe, bądź je budują. Obroty handlowe jednostek detalicznych MHD i PSS wyniosły za rok 1963 prawie 500.000.000 zł. W ostatnim okresie nastąpiła modernizacja części sieci sklepowej i przejście na takie formy sprzedaży, jak preselekcja i samoobsługa. Wzrost obrotów detalicznych pociągnął za sobą zmianę struktury sprzedaży, wyrażającej się w tym, że zmniejsza się udział sprzedaży artykułów spożywczych na rzecz przemysłowych. Obroty tymi artykułami za rok 1963 wyniosły 57%.

Poza przemysłem, największe osiągnięcia miasto posiada w zakresie gospodarki komunalnej i mieszkaniowej. W omawianym okresie z funduszy rad narodowych i zakładów wybudowano w różnych częściach miasta 28 budynków mieszkalnych, w których zamieszkało około tysiąca rodzin. Od czterech lat intensywnie rozwija się budownictwo spółdzielcze, w ramach którego wybudowano i odkupiono łącznie 9 budynków mieszkalnych. Obok wymienionych form budownictwa najbardziej dynamiczne jest budownictwo indywidualne, przy pomocy państwa. Prezydium MRN, widząc w tym budow-

niem pomocnika w rozwiązywaniu problemu mieszkaniowego, przydzieliło około 400 działek budowlanych w różnych częściach miasta oraz każdego roku udziela pożyczek na sumę kilku milionów złotych. Jednakże mówiąc o dużym osiągnięciu w zakresie budownictwa mieszkaniowego, nie trzeba zapominać, że sprawy mieszkaniowe należą do najtrudniejszych problemów władz lokalnych. Na dzień 1 stycznia br. ubiegających się o przydział mieszkań było 1.509 rodzin, a możliwe jest zaliczenie każdego roku nie więcej niż 100 spraw. Znaczący postęp został zrobiony w zakresie poprawy warunków sanitarnych i bytowych: wybudowano ujęcie wody, buduje się oczyszczalnię ścieków, sieć wodociągowa i kanalizacyjna została ułożona na długości prawie 20 km w 12 ulicach.

Stosunkowo najmniej zrobiono w zakresie wymiany nawierzchni dróg i chodników. Jeszcze do niedawna ponad 60% stanu dróg miało zupełnie nieulepszoną nawierzchnię; wskaźnik ten w ostatnich trzech latach udało się nieco zmniejszyć: przebudowano i wybudowano około 10 km dróg i prawie 20 km chodników. Warto wspomnieć, że w Zamościu asfaltowanie ulic i przebudowę oświetlenia żarowego na rtęciowe i jarzeniowe rozpoczęto dopiero w roku 1961. Dotychczas tylko trzy ulice posiadają asfalt: Akademicka, Lubelska i Krysińskiego. Dążymy do tego, by w roku bieżącym otrzymała w części asfalt także ulica Partyzantów.

Poważne osiągnięcia ma Zamość w dziedzinie oświaty. Wybudowano tu 5 szkół podstawowych, w tym dwa pomniki 1000-lecia. W trakcie budowy znajduje się szkoła im. Dzieci Zamojszczyzny, wznoszona dla upamiętnienia mężczyznstwa dzieci Ziemi Zamojskiej w latach okupacji hitlerowskiej, oraz Szkoła Rzemiosł Budowlanych z kompleksem pomieszczeń warsztatowo-internackich. W 15 szkołach średnich, zasadniczych i liceach naukę pobiera około 5000 młodzieży.

Ranga oświaty miasta wzrosła w

ostatnich latach na skutek zlokalizowania tu Studium Nauczycielskiego oraz Studium Zaocznego UMCS, gdzie na 5 kierunkach (pedagogika, geografia, matematyka, fizyka i studium administracyjne) pobiera naukę prawie 300 studentów.

Dużą pomoc w rozwoju miasta i podnoszeniu jego estetyki odgrywają organizowane przez Obywatelski Komitet Rozwoju Miasta, Front Jedności Narodu i komitety blokowe czyny społeczne. Dzięki inicjatywie społecznej każdego roku przybywa wiele nowych chodników, zieleni, a nawet dróg. Wartość czynu społecznego za rok 1963 ocenia się na sumę prawie 4.000.000 zł.

Największym wysiłkiem społecznym było wybudowanie zbiornika wodnego jest on centralnym akcentem parku kultury i wypoczynku.

Rozwój miasta w latach 1944-1964 był rozwojem jak najbardziej prawidłowym, bo objął swym zasięgiem wszystkie działy gospodarcze, a zwłaszcza te dziedziny, które w sposób bezpośredni rzutują na warunki bytowej ludności.

W znacznym stopniu w tym okresie czasu rozładowano trudną sytuację na miejscowym rynku pracy, poprawiono warunki mieszkaniowe wielu rodzin, stworzono możliwości korzystania z innych usług komunalnych.

Oceniając dwudziestoltnią drogę stwierdzić należy, iż Zamość uzyskał w Polsce Ludowej wielką szansę rozwojową. Posiada on poza m. Lublinem, prawie największy wskaźnik zatrudnienia na 1000 mieszkańców i wskaźnik produkcji na głowę mieszkańca. Stosunkowo na wysokim poziomie ukształtowały się także dochody na jednego mieszkańca, jak również wydatki na urządzenia kulturalno-socjalne. Można by wyliczyć jeszcze wiele wskaźników i przytoczyć szereg momentów, które potwierdzają, że w okresie władzy ludowej miasto Zamość, dzięki rozbudowie zakładów przemysłowych, rozwojowi urządzeń socjalnych i oświatowych, zajęło w województwie lubelskim przodujące miejsce.

(Dokończenie ze str. 1)

Żyją jednak rówieśnicy prof. Bartla, jego uczniowie, pracownicy jego katedry, czytelnicy jego „Perspektywy malarskiej”. Żyją i mają szczęście obliczać nasze sukcesy po drugim Dwudziestolecu.

Wypuściliśmy w ciągu tych lat dwa miliony sześćset czterdzieści pięć tysięcy absolwentów szkół średnich, ponad trzydzieści siedem tysięcy absolwentów szkół wyższych, w tym 110 tysięcy osób w zakresie studiów technicznych. Przy czym połowa tej młodej inteligencji to synowie i córki robotników i chłopów. Mamy w tej chwili w kraju 3.307 samodzielnych pracowników nauki, a pomocniczych 15.733. Przy czym należy pamiętać, iż ciągle odczuwamy niedostatek kadr z wyższym wykształceniem, szczególnie inżynierów różnych kierunków technicznych. Jeszcze większy niedobór występuje w kadrze techników. Posiadamy wprawdzie we wszystkich większych miastach wojewódzkich wyższe zakłady naukowe, nie potrafią one jednak wciągnąć jeszcze zaspokoić potrzeb rozwijającej się dynamicznie naszej gospodarki narodowej.

Kiedy premier w latach trzydziestych mówił do nas o wizji poetyckiej („pocie, moi panowie, wolno marzyć, ale my patrzmy na życie realnie”), łączny księgozbiór wszystkich bibliotek samorządowych, społecznych i szkolnych nie przekraczał 17 milionów woluminów. Obecnie we wszystkich bibliotekach publicznych mamy 130 milionów woluminów. Bagatela. A trzeba pamiętać, iż w niejednym domu robotniczym i chłopskim znaleźć dziś można, obok podręcznej biblioteczki specjalistycznej, wcale ładny zestaw książek beletrystycznych i popularno-naukowych.

Ilość lekarzy na 10.000 mieszkańców wzrosła niemal trzykrotnie, tyleż ilość łóżek w szpitalach. A zdrojowiska, a sanatoria, prewentyoria itp., o których w latach trzydziestych nie ma śladu. A było, a jakże, i Ministerstwo Zdrowia, i Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej. Kasy chorych też. Złienawidzone. Postrach pracujących.

W roku 1938 na 1 robotnika zatrudnionego w wielkim i średnim przemyśle przypadało przeciętnie 9,9 dni płatnego urlopu. W mniejszych zakładach pracy robotnicy na ogół nie otrzymywali urlopu wypoczynkowych.

Święto narodu

W r. 1962 na 1 robotnika grupy przemysłowej w przemyśle uspołecznionym (łącznie ok. 2.484 tys. robotników!) przypadało przeciętnie 17,1 dni płatnego urlopu wypoczynkowego. Za urlopy te przemysł wypłacił robotnikom 3.218 mln zł, tj. przeciętnie 1.295 zł na jednego robotnika.

Wszystkie te liczby stanowią tylko niewielką część olbrzymich kwot, jakie państwo wydaje na oświatę, kulturę i ochronę zdrowia obywateli. Są to fakty, które jeszcze przed dwudziestu pięciu laty nawet wytrawnym, przewidującym politykom wydawały się zgola utopijne, nieprawdopodobne. Najbardziej postępowi, socjaliści i ludowcy, twierdzili, iż realizacja znacznie skromniejszych planów nastąpić może nie wcześniej niż w XXI wieku.

A przecież spodziewamy się wszyscy, partyjni i bezpartyjni, że IV Zjazd Partii uchwali program dalszej rozbudowy materialno-technicznej kraju, stworzy jeszcze lepsze warunki do wszechstronnego rozwoju kulturalnego narodu.

Jest jeszcze jedna sprawa, o której pamięta pokolenie wychowane w latach trzydziestych.

1 Maja 1939 r. obchodziliśmy w atmosferze uzasadnionego niepokoju. Wojna wisiała w powietrzu. Wiadomo, że w obliczu gromiącego niebezpieczeństwa grupa postępowych działaczy zwróciła się do ówczesnego prezydenta państwa z propozycją powołania rządu jedności narodowej. Prezydent odmówił. „Mamy — oświad-

czył m. in. Niedziałkowskiemu i in. — dobry i mądry rząd. Wnoszę moją do Boga o zdrowie dla Składkowskiego i Becka, którzy potrafią zachować ład, utrzymać pokój”.

Dziś słowa te zakrawają na ironię, na kpinę. Ale tak było. Tacy ludzie stali u steru, taki był rząd, parlament, urząd.

1 Maja 1964 jesteśmy wszyscy skupieni we Froncie Jedności Narodu. Mamy zaufanie do jego kierownictwa, do rządu, który jest rządem jedności narodowej, do Partii, która umiała w ciągu dwudziestu lat wyprowadzić kraj z chaosu, przeprowadzić stabilizację naszego życia politycznego, stworzyć takie warunki, w których uczony, pracownik kultury, oświatowiec jest współtwórcą nowego ładu. Nigdy dotąd praca naukowa, pisarska, artystyczna nie była tak ważną potrzebą krajowi, jak dziś.

Nasi profesorowie są otaczani powściągliwym, najwyższym szacunkiem. Wiemy, iż — fakt bez precedensu — na IX Plenum KC Partii zaproszono bezpartyjnych pracowników nauki, słuchano ich wypowiedzi z najwyższą uwagą, liczone się z ich opiniami.

Nie tak dawno również bezpartyjni, pisarz, prezes ZLP Jarosław Iwaszkiewicz, otrzymał z rąk Aleksandra Zawadzkiego najwyższe odznaczenie państwowe, którego sama nazwa — Budowniczy Polski Ludowej — mówi za siebie.

Opieką i szacunkiem otaczani są plastycy, muzycy, aktorzy, publicyści, działacze kulturalno-oświatowi.

Oczywiście wszystkie nasze osiągnięcia zawiązujemy klasie robotniczej. Jej zdobycze są zdobyczami całego narodu. I dlatego Jej Święto jest świętem narodowym, jest świętem kultury polskiej, której treść międzynarodalistyczne są dziś oczywiste.

Obchodzimy to Święto w XX rocznicę naszej Ojczyzny, w przededniu IV Zjazdu Partii, a więc w atmosferze dumy i uzasadnionego optymizmu.

Nie wstydzmy się patosu w tym dniu. Jest szlachetny. Jakież może być większe zachowanie niż to, które płynie ze świadomości, iż droga przez nas wybrana jest słuszną.

Waldemar Babinicz

**TEZY KC PZPR
NA IV ZIAZD PARTII**

stwierdzają, że jednym z naczelnych zadań ideowych partii jest wychowywanie narodu w duchu patriotyzmu i internacjonalizmu, że współczesny patriotyzm polski jest nieoddzielny od socjalizmu. Socjalistyczny patriotyzm łączy miłość do własnego kraju z braterstwem i przyjaźnią do innych narodów, jest wolny od nacjonalizmu.

Partia wychowuje naród w duchu umiłowania szczytnych, postępowych tradycji, które na każdym etapie historycznym najlepiej wyrażają interesy narodu, państwa i postępu społecznego.

Jagiellońskiego w XIX i XX w.", lutowy zjazd kół naukowych, poświęcony zagadnieniom gospodarczym, społecznym i ustrojowym PRL w pracach studentów kół naukowych, wrocławskie seminarium, organizowane przez rady uczelniane Zrzeszenia Studentów Polskich uniwersytetów Jagiellońskiego i Bolesława Bieruta we Wrocławiu n.t. „Rola Uniwersytetu Jagiellońskiego w walce o polskość Śląska i Pomorza” oraz mające się za kilka dni odbyć (6-8 maja) Międzynarodowe Seminarium Uniwersytetów Europy. Warto zaanonsować projektowane jesienne seminarium w Lublinie, którego celem będzie nie tylko omówienie spraw bliższych obu ośrodkom naukowym, ale

węczę im symboliczne klucze do bram i zezwoli na igrzyska żakowskie, następnie delegacje tychże żaków podejmie u siebie rektor UJ prof. dr Kazimierz Lepszy. A potem istne szaleństwo ogarnie dostoje, podwawelski gród, Z balkonów i dachów sędziwego miasta rozlegną się głosy chórów studenckich (Męski Chór Akademicki o 89-letniej tradycji, Zespół Pieśni Słowiańskiej UJ i in.). W przeglądzie zespołów artystycznych w Barbakanie wezmą udział teatryki studenckie (m. in. bardzo u nas ceniony Teatrzyk Piosenki UJ, który nota bene w najbliższym czasie odwiedzi Lublin), jazz-club, studencki klub taneczny, zespoły góralskie i big-beatowe.

KSZTAŁT JUBILEUSZU (1364 - 1964)

ZBIGNIEW ŚWIĘCH



Collegium Maius

także „wyjście naprzeciw” najstarszemu uniwersytetowi — najmłodszemu dwudziestolatki — Uniwersytetowi im. Marii Curie-Skłodowskiej.

Centralne obchody, których kulminacyjny punkt nastąpi 10 maja, zapowiadają się imponująco. Postarają się o to nie tylko władze uczelni, Rada Okręgowa oraz Uczelniana ZSP, władze miasta, dyrekcje krakowskich teatrów, które dostosowują swój program do wagi chwili, ale także redakcje wszystkich pism, wychodzących w Krakowie i zakłady prasy.

W dniu 5 maja nastąpi otwarcie III Biennale Grafiki, 6 dokona się przecięcia wstęgi Muzeum Uniwersytetu w Collegium Maius; w tym samym dniu Teatr im. Słowackiego wystawi na Dziedzińcu Wawelskim „Odprawę posłów greckich” Jana Kochanowskiego (spektakl zostanie powtórzony kilkakrotnie w następnych dniach).

9 maja odbędzie się uroczyste zebranie dla nadania tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego 33 uczonym zagranicznym i krajowym, w tym kilku laureatom Nagrody Nobla. Spodziewany jest przyjazd m. in. wielkiego pisarza jugosłowiańskiego — onegdaj studenta Almae Matris Jagiellonicae — Ivo Andrića.

9 maja wystąpi także w Hali „Wisły” Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”, a we „Floriance” usłyszymy koncert muzyki staropolskiej.

10 maja — w kulminacyjnym dniu — nastąpi Ogólnopolskie Zgromadzenie Studentów na Wawelu i złożenie przez młodzież polską uroczystego ślubowania. W dalszych dniach — zjazdy byłych wychowanków, wystawy fotograficzne „Uniwersytet Jagielloński”, „Student-64” itp.

Tradycyjne już — dziesiąte z rzędu — studenckie święto wiosny i młodości, Juvenalia, w tym roku wkomponowane będą w centralne dni Jubileuszu. Poprzedzi je w dniach 6-8 maja „Wiosna Almae Matris” — ogólnopolski przegląd teatrów studenckich, w którym wezmą udział: warszawski STS, łódzka „Cytryna”, wrocławski „Kalambur” i krakowski Teatr 38.

Wieczorem, 10 maja od Barbakanu, poprzez Bramę Floriańską w kierunku Rynku Głównego ruszy barwny pochód historyczny przebierańców p.n. „Od Kazimierza Wielkiego do Kazimierza Lepszego”. Nastąpi otwarcie Juvenaliów — w tym roku dłuższych niż zwykle — i zsynchronizowanych z wszystkimi uroczystościami „Dni Krakowa”.

W programie Juvenaliów przewiduje się m. in. wizytę studentów — przebierańców u „ojców miasta”, którzy

W salach „Rotundy” i wszystkich klubów studenckich — bale kostiumowe krakowskich żaków, na ulicach w rejonie Starego Miasta występy teatru waganatów, opery podwórkowej i koncert muzykującego tramwaju, w Bramie Floriańskiej pobieranie myta, na murach tejże wystawa i kiermasz prac studentów ASP, konkurs malarstwa na płócie, wiosenny kiermasz kwiatów, misteria żakowskie i regaty wioślarskie na Wiśle, wielobój żakowski i bieg dookoła Plant o nagrodę rektora UJ. Kilkudniowe Juvenalia zakończy wybór i koronacja Najmilszej Studentki Krakowa. Nad wszystkim będzie górować piosenka, dowcip, humor i... prawdziwie studencka pomysłowość.

Dobrze się dzieje, że Jubileusz 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego nie jest traktowany tylko jako okazja do włożenia uroczystych strojów, wypicia tradycyjnej lampki wina, okazja śpiewów narodowych i przyjmowania gości. Majowe dni mają swoje prawa — wszystko to jest dobre jako podsumowanie dotychczasowych osiągnięć, dorobku — słowem — towarzyszących spraw, prowokowanych i powołanych do życia dzięki faktowi Jubileuszu.

Wspomniałem o inwestycjach. Powiedźmy sobie szczerze — nie powstałyby one, a przynajmniej nie w takiej ilości, gdyby nie ta okazja.

20 tysięcy studentów Krakowa — „zacznych scholarów”, chcąc uczcić Jubileusz najstarszej uczelni, podejmuje liczne prace, konkretną robotę. Wspomnieć trzeba o akcji studenckich kół naukowych. Z inicjatywy kierownika Komisji Nauki Rady Okręgowej ZSP w Krakowie — Ryszarda Juchniewicza, członkowie prawie wszystkich krakowskich kół naukowych: ekonomiści, socjologowie, architekci, geografowie, prawnicy, językoznawcy, przyszli specjaliści od spraw komunikacji, budownictwa lądowego, wodnego i inni — idą w sukurs najbardziej zaniedbanemu w województwie krakowskim powiatowi proszowickiemu. W ciągu sześciu miesięcy chcą opracować monografię tego powiatu, podyskutować nad sposobem szybkiej i skutecznej dla niego pomocy, a następnie podsunąć szereg ciekawych pomysłów do zatwierdzenia — jego gospodarzom. To jeszcze nie wszystko. Podejmują się wykonania w czynie społecznym większości prac użytkowych. Chcą opracować dokumentację szeregu projektów, wybudować najtrudniejsze odcinki dróg, a także uczestniczyć w akcji „białych niedziel” (studenci Akademii Medycz-

nej). A przy okazji — wypróbować swe siły na wielkim naukowym poligonie. Niemalże jest także udział studenckich kół naukowych w zabezpieczeniu przyszłości następnym pokoleniom studentów. Oto pod kierunkiem doc. dr Tomasza Mańkowskiego grupa naukowców Politechniki Krakowskiej, przy współpracy kół architektów, ekonomistów i socjologów opracowała wstępne założenia projektowe dla przyszłego miasteczka studenckiego, które powstanie w najbliższym dziesięcioleciu w rejonie ulic Piastowskiej, Reymonta i Czarnowiejskiej, wznoszonego w przyszłości w dużej mierze rękami samych studentów. Pomieści ono kilkanaście tysięcy osób i będzie tworzyło „autonomiczną” dzielnicę Krakowa!

W krótkim artykule trudno w sposób kompleksowy omówić zagadnienia związane z Jubileuszem najstarszej polskiej uczelni. Ograniczyłem się do zasygnalizowania najważniejszych spraw.

Setki „drobnych imprez”, których świadkami będą uczestnicy majowych krakowskich spotkań, a także wielkie, potężne inwestycje i zamierzenia, których realizowanie potrwa jeszcze długie lata, mówią o tym, że choćby z użytkowego punktu widzenia obchodzenie tego Jubileuszu jest bardzo potrzebne.

Kraków jest należycie przygotowany do przeżycia Wielkich Majowych Dni. Zatem — kto żyw, przyjeżdżaj w maju do podwawelskiego grodu, fetuj rocznicę wspólnie z nami. Na Rynku, pod Uniwersytetem. Na każdej ulicy.

„...jak kiedyś miasto Ateny dawnością i pięknocią zamków przywykło rozślawiać Grecję, tak pełne rozkwitu miasto Kraków, jakby prawem spadku po nich, zdobywa sobie zaszczyt Polski, bo że pominię urodzajność ziemi, czym zdaje się przewyższać prawie resztę miast, któreż miasto może się porównać z Krakowem albo naukami, albo kulturą, albo resztą ozdób? Alboż myślicie, że jest takie środowisko, w którym by można znaleźć tak wielkie tłumy zacnych scholarów, takie ich skupisko i nagromadzenie? Popatrzcie i zobaczcie, jakich mamy uczonych, w jaką naukę i wiedzę wyposażonych...”

Tak mówił w roku 1440 ówczesny rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Jan z Ludziska. Słowa te z powodzeniem mogłyby paść teraz z ust rektora Lepszego i na pewno nie dopatrzylibyśmy się w nich oratorskiego patosu. Rozwój bowiem najstarszej polskiej uczelni i dobie obecne jest niezaprzeczalny, wręcz bez precedensu. I dobrze się składa, że święto Jagiellońskiej Wszechnicy zbiega się z XX rocznicą powstania Polski Ludowej, a w dwa lata później przypada 1000-lecie polskiej państwowości.

Kiedy 2 października 1963 roku rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. dr Kazimierz Lepszy, w obecności władz państwowych i partyjnych obwiesił inaugurację 600-ego w dziejach uczelni roku akademickiego, w Krakowie zawrzało. Pisząc zawrzało mam na myśli szczególnie intensywne prowadzenie prac przygotowawczych do Jubileuszu, rozpoczętych jeszcze w r. 1957.

W r. 1963/64 dostrzega się nie notowane dotąd tempo budowy obiektów — inwestycji 600-lecia. W rejonie ul. Krupniczej, Mickiewicza i Reymonta powstały supernowoczesne budowle: Instytut Fizyki i Matematyki UJ, Collegium katedr zoologicznych i geologicznych UJ, Collegium Paderewscianum Wydziału Filologicznego UJ (częściowo z fundacji Ignacego Paderewskiego), gmach Wyższej Szkoły Rolniczej (dawnego Wydziału Rolnego UJ) oraz palmiarnia w ogrodzie botanicznym, obserwatorium astronomiczne w forcie Skala i dom studentek na 800 miejsc przy ul. Piastowskiej. Obecnie ten dom jest zamieniony czasowo na Międzynarodowy Hotel Studencki, z myślą o gościach zagranicznych przybywających do Krakowa na uroczystości jubileuszowe.

Równoległe z budownictwem inwestycji jubileuszowych — w ciągu całego roku — raz po raz odbywają się sesje naukowe i międzynarodowe seminaria. Z ważniejszych wymienić tu trzeba styczniową sesję na temat: „Dzieje młodzieży akademickiej Uniwersytetu

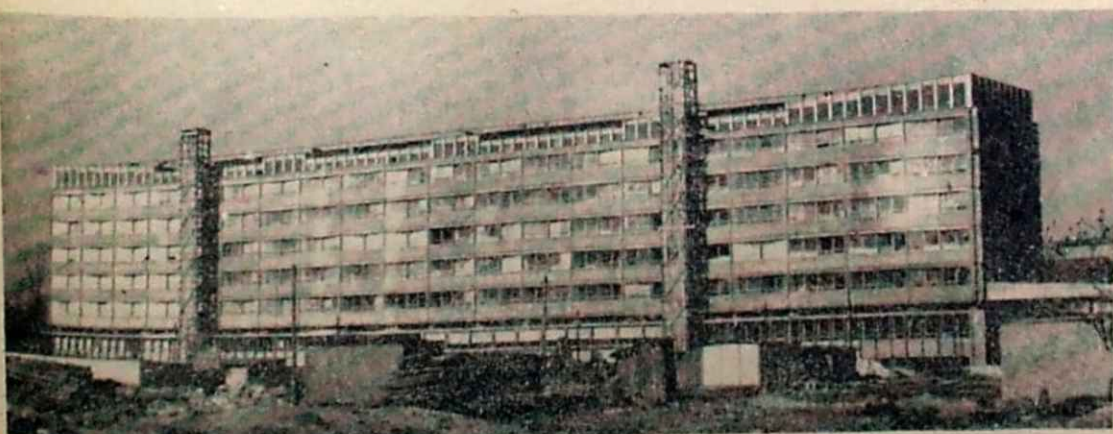


Foto mgr Adam Broż
Z budowy Instytutu Matematyki i Fizyki



Rzeźba głowy jednego z profesorów Almae Matris

„Broń najdoskonalsza“

STEFAN CHANACHOWICZ

U TARE się w naszej mowie codziennej taki zwrot: co on by na to powiedział, gdyby dożył naszych dni... Zwrotu tego używamy najczęściej w odniesieniu do ludzi, którzy nie dożyli, choć mogliby. Oscar Wilde nie mógł dożyć, w żaden sposób nie mógł, urodził się przecież w roku 1854.

A jednak często myślę: co on, ów niezrównany mistrz paradoksu słownego, powiedziałby na temat broni nuklearnej. Bo że groźna, że niespotykane niszczycielska, że już nagromadzone zapasy tej broni wystarczyłyby na wielokrotne uśmiercenie wszystkich mieszkańców Ziemi i ostateczne zlikwidowanie na naszej planecie wszelkiego życia — o tym napisano już miliony słów (nie wliczając jeszcze tych, które właśnie mam zaszczyt przedstawić Czytelnikowi). Ale jednocześnie jest przecież w tej sytuacji coś paradoksalnego (i dlatego przypomniał mi się Oscar Wilde).

Geniusz ludzki manipulując gdzieś tam na szczytach wiedzy uronił straszną tajemnicę, praktykę wojskową tę tajemnicę przechytrzył i wnet ją wykorzystali dla swoich celów. Powstała broń, którą dokładnie określić można tylko przez użycie samych superlatywów: najnowocześniejsza, najdoskonalsza, z śmiertelnością najbardziej śmiertelnością. Broń ta ma wszakże jeszcze jedną cechę. Tę mianowicie, że nie można jej użyć.

Zebym nie był niewłaściwie zrozumiany — śpieszę z uzupełnieniem. Nie można jej użyć, jeśli bronią ją dysponuje więcej niż jedno państwo. I dlatego jako punkt zwrotny w historii stosunków międzynarodowych — nie tylko powojennych, ale znacznie szerszej pojętych — unać należy zmianę przez Związek Radziecki pod koniec lat czterdziestych monopolu atomowego USA. Od wtedy licząc idea rozbrojenia przeobraża się zaczęła z pobożnego życzenia w absolutną ko-

Partia nadała kierunek polityce zagranicznej Polski zgodnie z następującymi, wypróbowanymi w ciągu 20-lecia zasadami:

— z krajami socjalistycznymi — ścisła przyjaźń i jednoosobna oparcie na fundamentach wspólnych idei i celów;

— z narodami walczącymi o wyzwolenie narodowe i społeczne i o umocnienie swej niezależności — braterska solidarność i pełne poparcie;

— z państwami kapitalistycznymi — stosunki oparte na zasadach pokojowego współistnienia, współpraca gospodarcza, naukowo — techniczna i kulturalna.

Swe bezpieczeństwo Polska Ludowa opiera na sojuzach i przymierzach z naszymi socjalistycznymi sąsiadami, na własnej sile obronnej, zespolonej ze zbrojowym wysiłkiem obronnym państw Układu Warszawskiego.

(Tezy KC PZPR na IV Zjazd Partii)

nieczność. Od wtedy bowiem licząc, dalszy wyścig zbrojeń nuklearnych — choć trwał nieprzerwanie nadal — stawał się już czymś absurdalnym. W dalszym bowiem ciągu doskonalono broń, która w stanie nawet mniej doskonałym nie nadawała się do użytku właśnie dlatego, że była tak doskonała. Paradoxs? Ależ oczywiście. Tyle tylko, że świat socjalistyczny, dlatego że od samych swych narodzin wolny od wszelkich tendencji podbojowych, zrozumiał konieczność rozbrojenia łatwiej i szybciej, niżeli świat kapitalistyczny, od wieków obciążony podbojowymi nawykami myślowymi.

Czy się już tych nawyków pozbył? Daleko nie. Ale byłoby przecież ślepotą nie dostrzegać zmian, jakie w świecie kapitalistycznym, jakie w przodującym państwie świata kapitalistycznego zachodzą. Oczywiście — jedna jaskółka nie czyni wiosny. Ale liczne i powtarzające się wypowiedzi prezydenta Johna Kennedy'ego (nie zapominajmy o umarłych!) — to już nie jedna jaskółka. Gdyby chcieć przytoczyć tu wypowiedzi choćby jednego tylko z tych wymienionych amerykańskich mężów stanu, można by tym wypełnić całą resztę tego artykułu. Ale wpadła mi niedawno w ręce amerykańska gazeta „St. Louis Post Dis-

patch” (jeden z kwietniowych numerów) i tam znalazłem stwierdzenie, które chyba największe (a nie mówię tego przez solidarną dziennikarską oddaje ową zdobywającą sobie w USA prawo obywatelstwa nową myśl polityczną. Oczywiście nową nie dla nas, dla świata socjalistycznego, ale dla USA. Więc pisała ta amerykańska gazeta, że „w dobre broni nuklearnej kraje o głęboko odmiennych systemach społecznych łączą wspólny interes uniknięcia wojny. Nie oznacza to bynajmniej, że tym samym zniknęły bardzo realne problemy, które je dzielą. Nie oznacza też, że jedno z nich musi ustąpić drugiemu w kwestiach dotyczących interesów narodowych lub spraw ideologicznych. Oznacza po prostu, że w sytuacji, kiedy dwa kraje są w stanie zniszczyć się nawzajem, lecz za cenę samozagłady — zdrowy rozsądek dyktuje, aby żaden z nich nie został zniszczony”.

Rzecz jasna, że nie tylko najlepszy, ale wręcz jedyny sposób na takie zorganizowanie świata, w którym nie groziłoby zniszczenie nieuchronnie połączone z samozagładą, to całkowite wyeliminowanie wojen, jako środka regulowania spraw między państwami. Równie błyskotliwe, co antyludnie powiedzenie, że wojna jest kontynuacją polityki innymi środkami, należy jako anachroniczne wykreślić ze słownika stosunków międzynarodowych. To mogło mieć rację bytu wtedy, kiedy posługiwano się karmieniami wyrzucanymi z katapult. Na-

wet wtedy, kiedy rażono przeciwnika śmiercią na odległość strzałami karabinowego. Nawet wtedy jeszcze, kiedy śmiertelność ramię ludzkiego przedłużono o zasięg lotu bombowca. To straciło zupełnie rację bytu — celowo podkreślam tu momenty czysto praktyczne, a pomijam nakazy humanitarne — gdy śmiertelność ramię ludzkiego przedłużono została właściwie w nieskończoność.

Zresztą, skoro zahaczyliśmy tu już o zagadnienie ewolucji sposobów uśmiercania przeciwnika, to warto przypomnieć, że np. wynalazek prochu strzelniczego wywrócił do góry nogami cały ówczesny świat pojęć. Główna nuklearna umieszczona na wieżkach rakietowych również wywróciła do góry nogami świat obowiązujący pojęć, tyle tylko, że pierwszą jej ofiarą padło samo pojęcie o jej użyczeniu.

Jednakże sama tylko świadomość bezużyteczności nagromadzonych zapasów broni nie wystarczy do wyeliminowania niebezpieczeństwa wojny. Zlikwidowanie niebezpieczeństwa wybuchu wojny wymaga powszechnego i całkowitego rozbrojenia. Udowodnienie tej prostej prawdy wymagało jednak wieloletnich wysiłków i dopiero pod koniec 1961 roku udało się Związkowi Radzieckiemu i innym krajom socjalistycznym przeforsować w Zgromadzeniu Ogólnym Narodów Zjednoczonych ideę powołania Komitetu Rozbrojenia 18 państw, któremu jako programowe zadanie wyznaczono wypracowanie układu o powszechnym i całkowitym rozbrojeniu. Podkreślam to sformułowanie dlatego, że zadanie to nigdy przedtem tak precyzyjnie i kategorycznie sformułowane nie było.

Tu Czytelnik jest w prawie zapytać: skoro należało urządzenie świata wymaga nieodwrotnie powszechnego i całkowitego rozbrojenia, to skąd ta powszechna satysfakcja z powodu podpisania w ubiegłym roku układu moskiewskiego o zakazie doświadczeń nuklearnych, co przecież nie jest rozbrojeniem? Skąd tyle uwagi światowej dla „planu Rapackiego”, albo — od lutego br. — dla polskiego planu zamrożenia zbrojeń nuklearnych w Europie środkowej, co również przecież nie jest rozbrojeniem?

Dla odpowiedzi ogólnikowej starczy wskazać, że aby przystąpić do rozbrojenia, należy wprawdzie zahamować wyścig zbrojeń.

Abym odpowiedzieć szczegółowej — trzeba napisać następny felieton.

POGLĄDY I PRZEGLĄDY

WARSZAWSKIE TARGI

JERZY GEMBICKI

P O RAZ dziewiąty Warszawa staje się miejscem spotkań wydawców z całego świata. Międzynarodowe Targi Książki tym razem zgromadziły aż 250 wystawców, stając się imprezą zajmującą, zdaniem fachowców, zaszczytne drugie miejsce (po Frankfurcie) w skali międzynarodowej.

Patrząc na tę wielką doroczną rewiew książek, nie zawsze zdajemy sobie sprawę, jak przedstawiają się nasze szanse na rynku światowym i jak przebiega import i eksport w tej dziedzinie wymiany handlowej, spełniającej przede wszystkim doniosłą rolę kulturalną.

O miejscu, jakie zajmuje polska książka za granicą, decyduje w poważnym stopniu działalność głównego naszego agenta na rynku światowym — „Ars Polona”. O zadaniach i aktualnym dorobku „Ars Polona” mówi nam jej naczelny dyrektor — ob. Zygmunt Schellenberg.

— Zasadniczym celem naszej działalności jest oczywiście torowanie dróg polskiej książce na rynku zagranicznym poprzez utrzymywanie stałych kontaktów z firmami wydawniczymi, bibliotekami, uniwersytetami, a także instytucjami naukowymi. Działalność nasza obejmuje zarówno eksport, jak i import. Jeśli idzie o eksport, wyraża on się sumą rządu 150 tys. dolarów. Do krajów zachodnich wysyłamy rocznie 600—700 tytułów. Do ZSRR i krajów demokracji milion egzemplarzy rocznie za 5 milionów zł dewizowych. W zakresie importu uzyskujemy książki (przeważnie o treści naukowej) z krajów kapitalistycznych za sumę 5,5 mln zł dewizowych. Ze Związku Radzieckiego i krajów demokracji za 7,5 mln zł dewizowych. W tym ostatnim wypadku wchodzi w grę również książki z dziedziny literatury pięknej i albumy. Na-

leży dodać, że „Ars Polona” przyjmuje również oferty z zagranicy na drukowanie książek w językach obcych. Ten rodzaj „eksportu usługowego” zyskał sobie dobrą opinię wśród zagranicznych klientów i stanowi obecnie poważną pozycję w pracy naszej instytucji.

Te krótkie dane cyfrowe mogłyby sugerować, że „Ars Polona” zajmuje się wyłącznie handlowymi poczynaniami, koncentrując się na finansowej stronie zagadnienia. Otóż niewątpliwie jesteśmy reprezentantami interesów materialnych wydawców polskich, ale również rozwijamy szeroką inicjatywę w dziedzinie kulturalnego oddziaływania poza granicami kraju. Wyraża się to m. in. w tym, że organizujemy wystawy i kiermasze polskiej książki za granicą (w USA, Australii, ZSRR, Czechosłowacji). Ponadto wysyłamy polskie książki naukowe na kongresy specjalistyczne, wydajemy czasopisma w obcych językach informujące zagranicę o dziełach polskich autorów we wszystkich dziedzinach twórczości. Włączamy się również do każdej imprezy międzynarodowej prezentującej książki z całego świata. Jesteśmy stale obecni na wystawach we Frankfurcie i Lipsku, a w tym roku bierzemy także udział w ekspozycji tego typu w Londynie i Belgardzie.

Na zakończenie pragnąłbym zaznaczyć, że „Ars Polona”, służąc interesom polskiej książki i reprezentując wszystkie wydawnictwa istniejące w kraju, nie rości sobie pretensji do absolutnego i wyłącznego dialogu z firmami zagranicznymi. Wielu wydawców ma wolną rękę w nawiązywaniu kontaktów z firmami zagranicznymi w zakresie poszczególnych pozycji, które mogą wzbudzić zainteresowanie w okre-

ślonym kraju. Rady i sugestie wydawców i księgarzy są zawsze ważnym czynnikiem w naszej polityce eksportowej. Jeszcze wiele jest bowiem do zrobienia, aby większa ilość polskich dzieł stała się częstszym gościem na witrach księgarni zagranicznych. Wzburzenie tych właśnie zainteresowań polską książką za granicą i finalizowanie konkretnych umów międzynarodowych jest podstawowym celem działalności naszego przedsiębiorstwa. Coraz lepsze rezultaty, jakie mamy do zanotowania w ostatnich latach, pozwalają nam przypuszczać, że nasza praca nie idzie na marne i że zyskuje sobie coraz poważniejsze miejsce na rynku międzynarodowym. Ze polska książka staje się ważnym ambasadorem polskiej kul-

tury i dorobku polskiej myśli naukowej w szerokich kręgach odbiorców zagranicznych.

Najlepszym dowodem słuszności oceny, jaką dał dyr. Schellenberg, jest olbrzymie zainteresowanie polską książką przez przedstawicieli firm zagranicznych biorących udział w ostatnich, IX Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie. Szereg wartościowych kontaktów i realnych umów dokonanych w czasie trwania Targów jest najlepszym sprawdzianem żywej wymiany, jaka się dokonuje na światowym rynku księgarskim, na którym coraz dobitniej akcentują swoją obecność pozycje polskich autorów, zarówno w dziedzinie literatury pięknej, jak i w dziedzinie twórczości naukowej.

CENNY TOM STUDIÓW

JERZY KOWALCZYK

L UBELSKIE środowisko naukowe może poszczycić się nowym poważnym wydawnictwem zainicjowanym i redagowanym przez Muzeum w Lublinie, a zatytułowanym „Studia i Materiały Lubelskie”. We wstępie do pierwszego tomu „Studiów” czytamy: „Celem wydawnictwa jest publikowanie prac naukowo-badawczych będących wynikiem zarówno działalności pracowników muzealnych jak i przedstawicieli ośrodka uniwersyteckiego, członków lubelskich towarzystw naukowych oraz wszystkich tych, którzy pracują w zakresie regionalizmu lubelskiego. W skład Rocznika wchodzi zeszyty poświęcone zagadnieniom etnografii, historii sztuki, archeologii, historii oraz problemom muzealnictwa na naszym terenie”. Bardzo ambitne są to zamary i — jak na razie — konsekwentnie realizowane. Bowiem po pierwszym skromnie przez redakcję nazwanym „zeszycie” poświęconym etnografii (1962), ukazał się pod koniec 1963 r. drugi z kolei tom poświęcony historii sztuki.

Na zawartość tomu z historii sztuki złożyło się dziewięć studiów i publikacji źródłowych siedmiu autorów. Problematy-

ka tomu obejmuje zagadnienia architektury, łącznie z problemami ornamentyki i dekoracji architektonicznej oraz ikonografii urbanistycznej. Tematem rozważań są dzieła znajdujące się na terenie województwa lubelskiego, pochodzące z okresu od końca XV do XIX wieku, głównie z doby manieryzmu (późnego renesansu), rokoka i klasycyzmu.

Dwa początkowe studia zostały poświęcone zagadnieniom architektury mieszczańskiej Lublina i Kazimierza Dolnego z okresu jej rozkwitu, z końca XVI i początku XVII stulecia. Rozprawa J. Bucyko w pt. „Kamienica Konopnicowa w Lublinie (zw. Sobieskich)” stanowi źródłową monografię najpiękniejszej lubelskiej kamienicy w Rynku Starego Miasta. Autorka w oparciu o wnikliwe badania archiwalne udokumentowała daty jej powstania na lata 1597—1614 oraz ustaliła, że autorów — patrycjuszowski ród Konopniców — rozwięzując ponad wszelką wątpliwość fałszywą tradycję wiążącą ten cenny zabytek z magnacką fundacją Zółkiewskich, a potem Sobieskich.

Atykuł K. Majakowskiej o pt. „Dekoracja fasad kamienic Mikolaia i Krzysztofa Przybyłków w Kazimierzu Dolnym” posiada przede wszystkim charakter interpretacyjny. Te bardzo znane niestety kamienice o fasadach pokrytych gęstą dekoracją z początku XVII w. — dawną intrygowali badacze tajemniczości symbolicznych i mitologiczno-religijnych przedstawił uzupełnionych różnorodnymi napisami. W omawianej pracy w pełnym stopniu został rozszyfrowany ten enigmatyczny dokument kultury mieszczańskiej doby manieryzmu i kontroformacji. Wziaszy pod uwagę, że rozprawa jest de-

(Dokończenie na str. 14)

KAROLA MAJEWSKIE

STOSUNKI moje z Leśmianem uległy znacznemu ożywieniu w latach 1925—1931. Odwiedziłem go często, bądź w domu, bądź w Związku Literatów. Nieraz prowadziliśmy długie rozmowy na tematy jego interesujące. Pasjonowało go zagadnienie podróży kosmicznych, zwłaszcza podróż na Księżyc. W rozmowach sprawiał tejszą poświadczenie wiele czasu, rozwodząc się szczegółowo nad budową aparatów, którymi podróż taką można by odbyć. W wywodach Leśmiana było coś niecoś z fantastycznych pomysłów Verne'a, ale i sporo rzetelnych wiadomości z zakresu najnowszej wiedzy astronautycznej. Rozmowy na te tematy utrzymane były w tonie najbardziej poważnym. Widać było, że Leśmian przywiązuje do poruszanego tematu dużą wagę i traktuje go na serio. Oczywiście wysłuchiwałem z uwagą i z powagą wykładów Leśmiana, bo tylko wykładami nazwać je można było, w duchu traktując je jako idee fixe świętego poety. Drugą jego namietnością była ruletka, o której lubił mówić godzinami, zdradzając się z opracowywanych drobniaków planów rozbić kasyna na Monte Carlo. Wiem, że jeździł tam parokrotnie, grał w baccaratę i w ruletkę, ale do rozbić banku jakoś nie doszło. W liście z 1925 r. pisał do Miriama Przemyskiego następująco: „Kilka razy wygrałem już w baccaratę i trente i quarante. Z wygranej zapłaciłem raz za pensjonat i sprawilem żonie suknie. Jestem pewien, że w końcu wygram dużą sumę i podam się niezwłocznie do dymisji. Otrzymałem zawiadomienie, że jest w Warszawie wakans notarialny, więc będę się on starał, chociaż trudno go dostać...”

Była jeszcze jedna sprawa, która może nie spędzała mu snu z powiek, ale absorbowala go i to w niemałym stopniu. Wiem o tym od Zegadłowicza. To wynalazek Woronowa, dotyczący przeszczepiania gruczołów płciowych. Dziś wiemy, że przeszczepianie gruczołów, szczególnie z małp, nie dawało pożądanego zmiany mającej na celu odmłodzenie organizmu i polegało raczej na sugestii.

W tymże cytowanym przeze mnie liście do Miriama pisze Leśmian z Monte Carlo: „Dowiedziałem się tutaj, że odkrycia Woronowa są absolutnie stwierdzone i na porządku dziennym. Rezultaty — nieomyślne. Genialny to człowiek — szkoda, że Moskal, a nie Polak, nie mamy ani jednego wielkiego biologa. Czy wybiercie się latem za granicę? Może byśmy, jadąc na Riwierę po drodze wpadli do Paryża, ażeby czegoś głębszego dowiedzieć się o wynalazkach Woronowa?” Z cytatów tych wyprowadzić można wniosek logiczny, że Leśmianowi zależało osobiście na zbadaniu sprawy, a z Miriame widocznie na ten temat nieraz rozmawiał, skoro z taką propozycją wobec niego wystąpił.

Po roku 1926 spotkania z Leśmianem odbywały się z reguły w mieszkaniu dr Dory Leubenthal, która zajmowała obszerny lokal w domu przy ul. Marszałkowskiej 148, nad redakcją „Kurier Porannego”. Była to przyjaciółka Leśmiana, którą poznał w Iłży, gdzie też napisał słynny cykl swoich erotyków opublikowanych w „Łące”. W Iłży przebywał przed Leśmianem ze strony matki, jako specjalista w produkcji naczyn fajanowych, wzorowanych na wyrobkach angielskich, i stąd pochodzi powiązania poety z tym niewielkim miastem. Spotkania u Dory Leubenthal uwiecznione były zazwyczaj sutą i wyszukana kolacją zakrapianą wymyślnymi napojami alkoholowymi. Na przyjęciach tych bywali, poza mną i rzadziej Zegadłowiczem, Franciszek Fiszer, Jan Brzechwa i jeszcze parę mniej lub więcej znanych osób ze świata artystycznego. Wśród gości rej wodził oczywiście Fiszer, którego tubalny głos huczał po wszystkich pokojach, przyprowadzając o drzenie szyby w oknach. Nie sposób zapomnieć o tych niekończących się dysputach filozoficznych, które prowadził uparty Fiszer, propagując wynaleziony rzekomo przez siebie system filozoficzny, który właściwie nie wiadomo na czym się zasadzał. Prawdopodobnie dawało to okazję Fiszerowi do wyżywiania się intelektualnego, bez którego nie rozumiał kolacji czy obiadu. Wygląd jego był ze wszech miar zabawny. Na plan pierwszy wysuwała się wielka broda barwiona różnymi wymyślnymi farbami, która wyglądała jak włochata paleta. Sam obżartuch, budzący podziw otoczenia swym niezrównanym apetytem, umiał zarażać nim najbardziej zdyscyplinowanych ascetów i glomatorów. Pamiętam, że pewnego wieczoru przyszedłem do dr Leubenthal skrzywiony i niedysponowany, z danym sobie postanowieniem powstrzymywania się od jakiegokolwiek konsumpcji. Siedziałem przy stole markotny, bez humoru, obok pani domu, a naprzeciwko mnie rozparty, zajmujący miejsce za trzech, Franc Fiszer. Boże! czego on nie opowiadał przy każdym daniu, ile poetyckich konceptów rozrzucał dookoła, ile słów pochwalnych dostawało się gosposy na każdą konsumowaną potrawę. Nim się zorientowałem, już siedziałem w sieci Fiszera i jak on — za panią matką pacierz — palaszowałem ile się dało! Ulegali mu, chcąc czy nie chcąc, wszyscy. Był w całym tego słowa znaczeniu figurą oryginalną, jakąś polską odmianą Gargantui, o dobrotliwym i pogodnym usposobieniu, nie było więc powodu, aby przeciwstawiać się jego nieszkodliwym zachciankom i fanaberiom, które nie przekraczały zresztą granic normalnej możliwości. Opowiadał mi, że kiedy na kilka dni przed śmiercią przewieziono go w stanie nieprzytomnym do szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie, zaraz po ocknięciu się, gdy zobaczył w promieniu swego widzenia kilku lekarzy w białych kitlach, zawołał na najbliższego: — Ej, kelner! Pół czarnej, ale zaraz!

Gdy dziś, po tylu latach wspominam minione czasy, radość rozpięra pierś, że danym mi było oglądać, niekończącą się galerię typów z Fiszerem na czele, i wydaje mi się, że wspomnienia te byłyby o wiele uboższe, gdyby zabrakło takich ludzi, jak Franc Fiszer. Ci wszyscy, którzy tamte czasy znają za ledwie z opowiadań, nie rozumieją i pojąć nawet nie potrafia, że byliśmy od nich szczęśliwsi, oglądając na własne oczy tych, po których pozostała jedynie legenda. Leśmian przeniósł się do Zamościa gdzie otrzymał rejenturę, dającą — jak wiadomo — niezłe dochody. Był z natury lekkomyślny. Zawierzał ludziom, których dobrze nie poznał, nie mówiąc o przysłówowej beczulce soli, jaką według powiedzeń naszych przodków należało skonstruować

z kandydatem na przyjaciela. Dość, że dobrał sobie pomocnika, który de nomine był jego zastępcą w notariacie, a de facto decydował we wszelkich sprawach, nie pytając się nie tylko o placet, ale i o zdanie Leśmiana. Poeta zresztą mało interesował się zagadnieniami wchodzącymi w zakres kompetencji rejenta, rad, że znalazł się taki osobnik, który go w tym całkowicie wyręcza i zastępuje. Na następstwa tego rodzaju karygodnej lekkomyślności nie trzeba było długo czekać. Przy jakiejś okazji wyszły na jaw nadużycia popełniane systematycznie przez owego pomocnika. Okazało się, że zdefraudował sumę sięgającą astronomicznych cyfr i Leśmian znalazł się w potrzasku — w sytuacji bez wyjścia. Groziło mu po prostu więzienie. Wtedy to przyjaciółka jego, Dora Leubenthal, okazała się prawdziwą przyjaciółką. Już przed wiekami stary pedagog jezuitki, Grzegorz Knapski, przestrzegał, że „przyjaciel fałszywy w nieszczęściu odwieczy”. Dora Leubenthal pośpieszyła z pomocą Leśmianowi i to z miejsca. Pozbyła się bez wahania luksusowego mieszkania ze stylowymi meblami i cennymi obrazami i przeniosła się do skromnego mieszkania na ul. Śniadeckich. Za uzyskaną ze sprzedaży kwotę pokryła w poważnej części zdefraudowaną sumę. Na pokrycie pozostałej kwoty Leśmian zaciągnął wysokoprocentową pożyczkę, którą spłacał do końca życia. Dzięki temu, że Car był ministrem sprawiedliwości, przyjaciółom Leśmiana udało się skłonić

na w Iłży dr Dorotą Leubenthal. Stosunek ten ciągnął się latami i prawdopodobnie — wobec nieustalonej sytuacji prawnej — dawał się obojgu we znaki. W liście pisanym do niej w grudniu 1921 r. do Paryża, pisze bez ogródek: „Dręczę się znów zazdrością, mówiąc, że chcesz wyjść za mąż — nie rób nigdy takich żartów, bo potem rozpaczam”. A w pięć dni potem, nie otrzymując od niej żadnej wiadomości, skarży się podtekstowo: „Pomyśl, jak ja się tu czuję bez wiadomości o Tobie, o moim szczęściu jednym, które tak daleko odjechało. Mam przecucie, że zapomnieliś o mnie. Czy tak? Czy to możliwe? Ostatecznie wszystko się zdarza na tym świecie. Może Twoja wielka miłość nie była tak wielka? Może oddalona ode mnie — zapomniałaś, zbladłem Ci, może wolisz inaczej życie swoje urządzać, byle siebie „wyratować”. Rób — co chcesz — tylko daj mi znać o wszystkim. Ja nie zgodzę się na nic, prócz wyłącznej miłości. Może się już nie zobaczymy? Gdybyś za mąż wyszła — nigdy już nie zobaczysz mnie, do Paryża bym nie pojechał, stałabym się o inne miasto”. Wiąże się to z innymi, bliżej nieokreślonymi zamiarami przeniesienia się na stałe do Paryża, pisze bowiem tak w poprzednim liście: „Dziecinio cudowna, rozkoszna, słodziuchna — mam nadzieję, że Ci się wszystko uda zrobić dla siebie i dla mnie. Mam przecucie, że jesienią już na stałe będziemy w Paryżu. Jak myślisz? Będzie tam lepiej niż w Hrubieszowie”.

Leśmian był słabego i chwiejnego charakteru, nie potrafił powziąć radykalnej decyzji i rozejść się z żoną i takie podwójne życie prowadził do ostatnich dni swoich. Po utracie rejentury w Zamościu i po przeniesieniu się na stałe do Warszawy, znajdował się w ciężkich tarapatach finansowych, nie mając pieniędzy na kawałek chleba. Przykro było patrzeć, jak nieraz żona wraz z córkami oczekiwała na przybycie Leśmiana, który od Dory Leubenthal przynosił w zawiniątku mięso na obiad, a dość często i pieniądze. Zdarzało się jednak, że ten niezdeterminowany Leśmian, umiał zdobyć się na czyn godny zastanowienia. Do jednej z córek Leśmiana smalił cholewki pewien młody pisarz warszawski, należący do ugrupowania skrajnie prawicowego. W domu Leśmianów ugruntuowało się przeświadczenie, że ów literat przychodzi do córki w poważnych zamiarach matrymonialnych. Jakież było zdziwienie Leśmianów, gdy pewnego dnia zabiegający o jej względy młodzieniec oświadczył, że ożenić się z nią nie może, bo ona jest pochodzenia żydowskiego, a ponieważ sam należy do ONR, nie widzi powodów, aby łamać zasady obowiązujące członków tej organizacji. Proponuje jej przeto romans. Leśmianówna zaskoczona tego rodzaju obrotem sprawy powtórzyła rodzicom, co usłyszała od młodego człowieka. Leśmian był oburzony. W parę dni, gdy obiecujący konkurent zjawiał się w mieszkaniu Leśmianów, doszło do gwałtownej rozmowy między nim a Leśmianem. W pewnej chwili malutki Leśmian doskoczył do młodzieńca, odznaczającego się słusznym wzrostem, wymierzył mu wcale siarczysty policzek, otworzył drzwi i wyprosił z mieszkania.

Wiele interesującego materiału dotyczącego udziału Leśmiana w pracach Polskiej Akademii Literatury, do której wszedł w r. 1933, jako reprezentant liryki, gromadził Michał Rusinek z racji zajmowanego stanowiska sekretarza biura Akademii. Liczne teki z materiałami Akademii, zawierające również wierszowane wypowiedzi Leśmiana, które od ręki formułował na skrawkach papieru, kierując je do różnych adresatów obecnych na posiedzeniach Akademii, zostały przekazane przez Rusinka na przechowanie do Biblioteki Narodowej w Warszawie. Opowiadał mi Rusinek, że tecki te, jak go poinformowano, znajdujący się bez wątpienia w dalszym ciągu w Bibliotece Narodowej, nie sposób wszakże ustalić dokładnie miejsca ich przechowania, a ponieważ tego rodzaju materiałami zapelnione są piwnice Biblioteki Narodowej i porządkowanie ich postępuje stopniowo, dotarcie do nich będzie kwestią przypadku i może to się stać zarówno w najbliższym czasie, jak i w ciągu kilku lat.

Wspomnienie moje dobiega końca. W tym miejscu, uważam, że warto przypomnieć, co o Leśmianie napisał Ignacy Fik, znakomity krytyk z końcowego okresu dwudziestolecia międzywojennego, charakterystyka ta bowiem i to w kilku zdaniach, daje dość trafny obraz poety, a będzie on w pewnym stopniu komentarzem do sceny ostatniej, pośmiertnej już, w moim wspomnieniu. Oto — słowa Fika: „W przeciwieństwie do harmonijnego i klasycznego portretu epoki, jaki przedstawia Staff, jej okazem psychopatologicznym jest Leśmian. Gdyby cały najradikalniejszy romantyzm mieszczański skroplił się dało w fiasko esencji — to byłby nią tomik wierszy Leśmiana. Leśmian jest masochistą, który przychodzi do świata, aby dać mu się pożreć. Dlatego chętnie się odczłowiecza. Ciało człowieka miele na młynach metafizyki i szczytki jego rozwleka w eterze międzyplanetarnym. Zaden podreżnik biologii nie ustali w wierszu Leśmiana granicy między człowiekiem, fauną a florą. Człowiek Leśmiana jest z bezkształtnej masy irracjonalnej i należy do świata na równi z refleksem światła na trawie, z służącym ślimaka i zapachem mgły nad wilgotną łąką — każde wrażenie ludzkie odłącza się od zmysłów, które je stworzyły, i usamodzielnia się w bezkształt kosmicznego żywiołu. Złudnia od razu całą rzeczywistość, podczas gdy sama gleba, na której wyrosło, próchnieje i rozwiewa się w nicłość. Cały świat staje się ogromną ginącą substancją, w której odbywa się nie uświadomiona przez nikogo bezmyślna przemiana”.

Leśmian zmarł w roku 1937. Trumna ze zwłokami jego złożona została w dolnej kaplicy Kościoła św. Krzyża w Warszawie. Przed zalutowaniem trumny, rodzina poleciła ją otworzyć, aby po raz ostatni rzucić okiem na zmarłego, pożegnać go w ten sposób. Jan Brzechwa, który był obecny przy otwarciu trumny, opowiadał mi, że wygląd Leśmiana wywarł na nim wyjątkowo przykre i deprymujące wrażenie. Poeta był wprawdzie szczupły za życia, ale w trumnie wydał się jeszcze szczuplejszy. Po prostu leżała garstka kości odziana w ciemny, żalobny garnitur. Twarz fosforyzowała niesamowitą wręcz zielenią, a z kącików fioletowych warg spływał dwiema nitkami trupi jad, zabarwiony krwią. — Odwróciłem głowę — ciągnął Brzechwa — aby nie zatrzymać na

WSPOMNIENIE O BOLESŁAWIE LEŚMIANIE

(2)

EDWARD KOZIKOWSKI

Cara do zatuszowania sprawy. Niemniej Leśmian musiał złożyć podanie o zwolnienie go ze stanowiska rejenta i w ten sposób rejenturę diabli wzięli! Każdy grosz wtedy był potrzebny i Leśmian, przypominając sobie swych dłużników, zwracał się do nich o zwrot pożyczonych sum. Między innymi pisał i do Zegadłowicza, któremu udzielił pożyczki na prowadzenie kilimiarni. Ponieważ Zegadłowicz na list Leśmiana nie odpowiedział, napisał przeto do mnie. List ten cytuję tu in extenso, jako dokument dość charakterystyczny, naświetlający sytuację Leśmiana, jaka nastąpiła po dokonanej defraudacji. Oto co pisał do mnie Leśmian: „Zwracam się do Pana z prośbą taką: żona moja bardzo się rozchorowała na płuca, potrzeba wyjechać na kurację natychmiast, a pieniędzy nie mamy. Otóż — niech się Pan dowie i da mi znać, czy literaci posiadają jakikolwiek kurort odpowiedni i dokąd mam się z tą sprawą zwrócić? Wiem, że Pan to chętnie zrobi i nie każe mi długo czekać, więc z góry dziękuję. Od Zegadłowicza — na ostatni (ważny) list nie miałem odpowiedzi. Będę zmuszony przypomnieć niezadługo, bo mi w tej chwili każdy grosz potrzebny. Boję się, że literatura nasza nie posiada żadnego sanatorium. Czekam na odpowiedź Pańską i serdecznie dłoń Pańską ścisłkam. Bolesław Leśmian”. List został wysłany z Zamościa i nosi datę 18 stycznia 1931 r.

Niestety, nie nie mogłem uczynić dla Leśmiana, bo literaci żadnego kurortu nie posiadali i to nie tylko w Zakopanem, ale nawet w Otwocku, czy innej miejscowości. Przedstawiłem mu więc, jak sprawa wygląda, zaznaczając, że jedynym wyjściem byłoby wszczęcie zabiegów w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego o przyznanie odpowiedniej zapomogi na ten cel. Dodałem również, że gotów jestem służyć pośrednictwem w tej sprawie, o ile tylko otrzymam od niego upoważnienie. Na list mój Leśmian nie odpowiedział i nie wiem, w jaki sposób zdobył niezbędne środki finansowe, dowieiedziałem się bowiem z czasem, że Leśmianowa przebywała na kuracji w Zakopanem i zdrowie jej uległo całkowitej poprawie. W drugiej sprawie — Zegadłowicza napisałem do Gorzonia, opisując szczegółowo sytuację Leśmiana, ale mam pewne wątpliwości, czy Zegadłowicz sprawie tej poświęcił trochę bodaj uwagi, zważywszy, że nigdy grozłem, mówiąc trywialnie, nie śmierzdział i w zasadzie trudno było od niego coś wydusić. W każdym razie sprawę przeze mnie poruszoną zbył, jak to zwykł czynić, milczeniem.

Na tym właściwie urywają się moje bliższe kontakty z Leśmianem, trudno bowiem za takie uważać przygodne spotkania na ulicy, czy w kawiarni, gdzie bywałem zresztą rzadko, zmuszony tymi, czy innymi okolicznościami. Nie mam wszakże zamiaru poprzestać na wiadomościach zdobytych bezpośrednio i pragnę uzupełnić je informacjami uzyskanymi od osób bliżej związanych z Leśmianem.

Otóż opowiadał mi Jan Brzechwa, krewniak Leśmiana, że ten ubolewał niejednokrotnie i narzekał, iż natura obdarzyła go tak niskim wzrostem. Istotnie Leśmian był malutki i w przystępie dobrego humoru można było usłyszeć od niego zabawną opowieść o jadającej ulicami pustej doroczce, która zatrzymała się przed pewnym domem i wysiadł z niej Leśmian. Bolało go ze wszech miar, że był niewielkiego wzrostu, w towarzystwie mało zwracano uwagi na niego, a u kobiet nie miał zupełnie powodzenia. Nieraz z wyrzutem pytał Brzechwę, dlaczego go tak skrzywdzono, dając wzrostem karła, gdy przecież mógł być wzrostu takiego, jak np. Brzechwa. W ogóle życie nie układało mu się pomyślnie, z żoną nie zaznał szczęścia. Tak przynajmniej twierdził, a może tak mu się zdawało. Los związał go węzłem nierozzerwalnym z pozna-

Sonet I

From fairest creatures...

Twory najwyższe — dla nas bytu wzorem,
Chcemy, by piękno róży nigdy nie umarło,
Lecz kiedy kres się zbliżył, to żniwo kolorów
Lagodne palce czasu w pamięci zatarył.

Bo Ty, który rozniecasz jasność własnych oczu
I płomień światła sycisz swej istoty treścią,
A głód wraz z obfitością pospolu jednoczysz,
Stodysz i okrucieństwo jak wróg w sobie mieścisz.

Ty, którego dzieło jest ozdoba świata
I jedynym zwiastunem rozkrzyczanej wiosny
Grzebiez w sobie zapowiedź obfitego lata
I pustkę czynisz w swym skąpstwie radosnym.

Nawet żarłok dla świata powinien mieć litość.
Albo to co zostanie to grobowa nicłość.

Sonet II

When forty winters...

Kiedy czterdzieści zim ośniesz zwolna brew
I brudzy zacznie ryć na pięknym twym obliczu
Pod zbroją cnej młodości zastygła zacznie krew
Czując, że wkrótce będzie niczym.

Więć w głąb istoty swej zanurzysz łzawę oczy,
gdzie urok dawnych dni i skarb przeszłości leży
spostreżesz, jak rój myśli grzączy wstyd zjednoczył,
a cenę powodzenia nim tylko możesz zmierzyć.

I westchniesz: — gdyby tak to piękne moje dziecię
rachunkiem mogło być, bilansem mego bytu,
Wszak to jest dzieło me, dziedziczy po mnie przecie
a mrok ubiegłych lat uwzniośli mitem.

Ach ujrzeć siebie w nim — nowego życia głód
poczuć, nim krew gorąca zastygnie w łód.

Sonet III

Look in thy glass...

Czy w lustrze znajdziesz wierne swe odbicie?
Być może nagle twarz zobaczysz inną,
której nie zmienisz, choć chcesz tego skrycie,
za fałsz w niej tkwiący matkę czynisz winną.

Ale na próżno odwracasz swe lice
z pogardą myśląc o dziedzictwie Iona.
Czyż instynkt może obrócić na nice
kres potomności i grobu zasłonę?

Tyś jest odbiciem swej matki — jej w tobie...
i pięknej chwili twój poczęcia...
To są dwie wiosny, przywołaj więc obie
niby dwie matki jednego dziecięcia.

Bo skoro żyjesz pomnij o niebycie
Umrzesz samotnie wraz z obrazem życia.

Z oryginału przełożył
Wacław Gralewski

Być może i Mickiewicz, pisząc Wielką Improwizację, pobudkę znalazł w pierwszym Sonecie...

Dociekaniom i badaniom zarówno dzieł Szekspira, jak i wpływow na literaturę światową, można poświęcić całe życie i w rezultacie wykonać tylko małą część zadania. A w tych dziełach liryka stała się nowi klejnot o swoistym blasku.

Obchód 400-lecia urodzin Williama Shakespeara „Kamena” rozpoczęła w numerze 7, z dnia 15 kwietnia, wypowiedziami uczestników Studium Kultury Teatralnej przy Lubelskim Domu Kultury, którzy wzięli udział w konkursie pod hasłem „Hamlet 1964”. Zamieszczone obecnie przekłady są drugą z kolei pozycją, związana z 400-leciem

— Red.

SZEKSPIR
I JEGO LIRYKA

WACŁAW GRALEWSKI

WŁASNIE 23 kwietnia 1964 roku minęło czterysta lat, odkąd w Stratfordzie nad Avonem urodził się w ubogiej rodzinie ten, któremu los miał wręczyć królewskie berto poezji i uznać go za jednego z największych twórców w historii literatury.

Ale los jest sztycherem. Obok wielkości postawił zagadkę, nad rozwiązaniem której męczą się mózgi największych badaczy. Szekspirologia przepelniona jest dręczącą niepewnością: kto był naprawdę twórcą tych nieśmiertelnych dzieł? Czy aktor a potem dyrektor teatru „The Globe” czy też? Ci, którzy wątpliwość wymieniają szereg nazwisk.

W języku angielskim jest taki idiom — back room boy na oznaczenie prawdziwego, ale ukrytego twórcy.

Niby wszystko się działo w świetle historii, niby wszystkie postacie od autora aż do świadków jego prac są znane. A więc nie powinno być wątpliwości. A jednak są i to duże.

Od dawna świat szekspirologów podzielony jest na dwa oboje. Sceptycy z kolei dzielą się na zwolenników różnych domniemyanych autorów. Najgłośniejszą osobą, na którą wskazuje się jako na istotnego, a ukrytego twórcę jest filozof Franciszek Bacon.

Napisano tysiące dzieł, rozpraw, broszur i artykułów o charakterze naukowo-polemicznym, a zagadka nadal pozostaje zagadką.

Ostatnio prasa doniosła, że w związku z 400 rocznicą urodzin wielkiego twórcy znów w Anglii rozgorzała wojna polemiczna. Jeden z zagorzałych przeciwników Szekspira, Ronald Duncan, zwolennik teorii, że twórcą był Bacon, zaproponował, aby rozwiązanie pasjonującej zagadki powierzyć mózgowi elektronowemu. „Myśląca maszyna” otrzymałaby teksty pism Szekspira i Bacona i poprzez logistyczną

selekcję słownictwa jednego i drugiego wyciągnęła właściwy wniosek...

Czy ten eksperyment może dać odpowiedź na dręczące literaturę pytanie? Zdać się, że jeśli nawet maszyna da konkretną odpowiedź, to i tak powstaną wątpliwości, które znów podzieli badaczy.

Pozostaje jeszcze pytanie, na które łatwiej dać odpowiedź. Dlaczego właściwy twórca, jeśli tak było, ukrył się za plecami osoby wybranej?

Niewątpliwą jest rzeczą, że w utworach autora „Hamleta” ukryty jest dynamit, często w słowach brzmiących dość spokojnie. Wyraża on wiele spraw, pod osłoną aluzji i wieloznaczności, które mogły być uznane za atak w określonym kierunku, albo mieć nawet charakter bluźnierstwa.

Osobnym rozdziałem twórczości Szekspira jest jego liryka, a przede wszystkim sonety, których napisał 154.

Stanowią one określoną całość, w której od pierwszego, mającego niemal charakter inwokacji, aż do ostatniego wyrażone są najgłębsze ludzkie uczucia.

Niektóre, jak pierwszy, nabrzmiały są buntem — choć wypowiedź pozornie jest spokojna. Ale w tym spokoju czai się wybuch.

Romantyzm „odkrył” Szekspira i wskazał na niego, jak na wielki sztandar.

Wielu twórców zawdzięcza inspirację temu, który pozornie tak prosto i tak niemal dziecięco powiedział:

So long as men can breathe, or eyes can see,
So long lives this, and this gives life to thee.

Wysokie góry i odziane lasy
Kochanowski

BADANIA wersyfikacji, wszelkie analizy form poetyckich są niezwykle ciekawe i pożyteczne wówczas, gdy wiążą się z widzeniem funkcjonalności danej formy, gdy tłumaczą odrębność wizji poetyckich, sytuacji i stanowisk artystycznych. Badania formy i języka poetyckiego mogą być niestety przydatne dla ukazania koncepcji świata danego poety, jego indywidualności artystycznej. Na sesji naukowej poświęconej twórczości Marii Konopnickiej jeden z zagranicznych polonistów nadał referat o szokującym laika tytule: „Epitety złoty i srebrny w poezji Konopnickiej”. Ten zdawałoby się tak wąski i formalny temat odsłonił interesujące aspekty poezji Konopnickiej, rzucił wiązkę przenikliwego światła na jej poezję. Epitety „złoty” i „srebrny” potraktowane zostały jakby jakiś promień rentgena ukazujący pewne zasady struktury językowej i wyobraźniowej tej poezji.

Nie zawsze krytyk umie połączyć analizę formy z jej funkcją artystyczną i ideową. Krytycy zapatrzeni na model tzw. awangardy mają skłonność do technicyzmu, do widzenia wyłącznie zewnętrznych ruszowań poezji. Takie traktowanie poezji nie uwzględniające jej wizji świata, jej treści, jej charakteru emocjonalnego — jest mało owocne. Gdyby tylko z punktu widzenia wersyfikacji i wynalazczości formalnej spojrzeć na „Treny” Kochanowskiego, nie widziałoby się przełomowego charakteru tego cyklu poetyckiego, jego istotnego nowatorstwa myślowego, nowego świata, nowego widzenia i odczuwania. Odnosi się to do wielu innych przełomowych i nowatorskich utworów poezji polskiej, przystając choćby „Sonety Krymskie” czy liryki Norwida. Nie nowe konstrukcje formalne bowiem decydują o nowości i przełomowości tych utworów, ale treść wewnętrzna i język.

Ważniejsza od spraw formy traktowanej jako konstrukcja i rodzaj literacki jest zawsze analiza języka. Pozwała ona w sposób trafniejszy ocenić i określić charakter danej poezji. Pewne cechy języka nie tylko pozwalają

nieomyślnie określić przynależność utworu poetyckiego do nurtu literackiego i okresu, ale też decydują o trwałości lub wędnięciu poezji. Słowo, jego świeżość, blask, ciężar, gęstość, nasycenie treścią i emocją — to decyduje o żywotności i prawdziwości poezji, nie zaś czystość rodzaju literackiego i wynalazczość konstrukcji.

Listy o poezji

POWRÓT
DO ŹRÓDEŁ

ANNA KAMIENSKA

Dziś jesteśmy chyba szczególnie uczuleni na słowo, na manierę i fałsz, na sztuczny patos i wzniosłość. Okres przewartościowań w dziedzinie światopoglądu — skazał też na banicję wiele słów. Słowa starszej się. To prawda znana językoznawcom i twórcom wszelkich słowników. Słowniki są w dużej mierze cmentarzami słów. Dla nas cmentarzami słów i wielokrotnie cmentarzami poezji są tomy wierszy poetów Młodej Polski. Okres ten jak żaden inny obrzydził nam własny język i język poezji, doprowadził do kurykatury język romantyzmu, zożydził gwarę ludową i uczynił z języka poezji synonim przesady, fałszywej wzniosłości i oderwania od wszelkiej rzeczowości.

Są słowa tak zdeprecjonowane przez fałszywe używanie i przez nadużycie ich metaforycznego sensu, że nie powtórzy ich żaden współczesny szanujący się poeta. Słowo: serce obarczone kłiwą treścią metaforyczną może być dziś użyte jedynie w pierwotnym i dosłownym znaczeniu jako mięsień do tłoczenia krwi. Dusza i duch — to słowa zryzygowane i bezżelne, nie przynoszące żadnej konkretnej treści, mimo że dźwigają niegdys takie brzemie znaczeń.

Współczesny poeta powie raczej: krew zamiast: serce i: nerwy zamiast: dusza. Pewne słowa nie miały się uchu współczesnego człowieka, budzą nieufność przez zbyt szeroki zakres treści, ogólnikowość, zdawkowość. Wykłęte są też wszelkie tęsknoty i tęsknice, smutki i żale, mimo że barwa współczesnej poezji jest przecież raczej ciemna i zdawałoby się, że te słowa powinny mieć w niej prawo obywatelstwa zamiast radości i uciechy. Tęsknota i żal to słowa jednoznaczne, płaskie, nie ma w nich miejsca na ironię, jaka z łatwością pomieści się we wszelkich pozytywnych pojęciach.

Szczególnie jednak współczesny poeta nie lubi przymiotników. Nie wiem, czy nie najwięcej wysiłku wkłada każdy poeta dzisiaj w wymianę i wykreślanie przymiotników i wszelkich epitetów przymiotnikowych. Szczęśliwi byli poeci dawnych epok, którzy nie bali się najprostych określeń, dla których góry były zawsze wysokie, a łąki zielone.

Istnieje natomiast w nowej poezji tendencja do wyjaskrawiania słownictwa, do słów ostrych i drapiejących. Ta tendencja również przechyla się już w manierę i czasem przypomina brutalność i przesadę poezji młodopolskiej. Moderna miała przecież obok cichych zadumań i tęsknic swoje dzikie żądze, piekielne lona, skute łańcuchami duchy, rozpasane sabaty. Widać tu, jak przeciwstawne nawet manery przychyłają się ku sobie, upodobniają się. Niebezpieczne są te podobieństwa.

Dlatego też we współczesnej poezji rodzi się chęć wyminięcia manierystów awangardy i manierystów Młodej Polski wywodzących się z poezji romantycznej, zwłaszcza Krasińskiego. Budzi się tęsknota (nie tęsknica) do ożywczej, niebanalizowanego języka staropolskiej sprzyj przed okresem romantyzmu, powrotu do źródeł.

Język poetów XVI, XVII i XVIII wieków wydaje nam się świeży i orzeźwiający. Może się już uleżał i ucukrował, ostatecznie powracamy do niego w rzadkich lekturach. Może ta dawność i niezwykłość sprawia, że działa orzeźwiająco. Poza tym już nie są dla nas niebezpieczne manierysty tamtych okresów literackich, już mo-

żemy je traktować wyłącznie jako patynę czasu, wdzięk przeszłości. A może jednak rozwój naszego języka poszedł w złym kierunku. Wielki romantyzm narzucił swój model językowy następnym pokoleniom, podnosząc ton mowy, tak że aby być słyszalnym, trzeba było mówić coraz wznioślej, coraz górniej.

W tej sytuacji w braku poczucia miary języka na nic się zdało szukanie ratunku w gwarze ludowej. Gwara, która tak ożywia inne języki, np. rosyjski, nieustannym napływem żywej mowy — dla naszego języka stała się nową manierą. Utwory gwarowe są u nas nieczytelne i brzmią manierystycznie. Tymczasem język ludowy ginie bezpowrotnie i nieodwołalnie tępiony przez szkołę i nie utracony w dziełach literatury pięknej. Może do tego ludowego języka będziemy wdychać kiedyś, jak dziś wdychamy do staropolskiego języka.

Język poezji staropolskiej urzeka nas przede wszystkim swoją rzeczowością. To, co określamy jako jedność i soczystość tego języka — to właśnie jego rzeczowość i poczucie humoru. Ta poezja, nie gardząca wlotami ani filozoficznym rozważaniem, unie trzymać się mocno ziemi. Zbadanie samych epitetów poezji staropolskiej, jak zbadanie przymiotników złoty i srebrny u Konopnickiej rzuciłoby jasne światło na charakter tej poezji. Jakże trafne są te epitety, oczywiste, a jednak dalekie od banału. Nie może być banalne to, co prawdziwe. Wydaje się, że jakby słowa same przyciemniały się do siebie, wiązały się w naturalne pary. Dopiero nasze słowa odpychają się od siebie. Są poeci współcześni, którzy poszukują w każdym skojarzeniu słów dziwności i niezwykłości.

Dawni poeci nie gonią za efektami nowości. A przecież najbardziej nowoczesnymi poetami dla nas są dziś właśnie Kochanowski, Sep Szarzyński, Morsztyn i Trembecki. Są nam o wiele bliżsi niż poeci XIX wieku, nad których wydaniem tak trzusi się od lat Paweł Hertz. Jest to paradoks historyczny. Wiek XIX stał się kręgiem piekła dla poezji XX wieku. Niebo poezji znajduje się o wiele głębiej.

A sztandar zabłysnął

(Dokończenie ze str. 1)

drzwi i do celi wpadła cała wataha oddziałowych. „Rewizja, proszę wychodzić”. Nigdy przed tym rewizje nie odbywały się po apelu. Widocznie administracja dowiedziała się o czernionych sztandarach, które miały być wystawione z każdego okna celi politycznej i chciała je nam odebrać za wszelką cenę.

Szurka w ostatniej chwili zdążyła sztandar schować pod bluzkę i wyszliśmy na korytarz. Po dwie wprowadzono nas do „magla”, gdzie dozorczyńi rozbięła nas do naga i szczegółowo rewidowała. Na korytarzu stał dozorca, który pilnował, by rewidowane już dziewczęta nie mieszały się z pozostałymi. Byliśmy rozpaczone, nie miałyśmy pojęcia co zrobić ze sztandarem. Nie pamiętam już kto podsunął myśl, by sztandar położyć pod spłuwaczkę, która stała w kącie korytarza. Zrobiliśmy przy spłuwaczkę sztuczny ścisł i Szurka wsunęła tam sztandar. Nie bardzo wierzyliśmy w powodzenie tego przedsięwzięcia, ale nie miałyśmy innego wyjścia. Rewizja trwała dość długo. Siedziałyśmy już wszystkie w „maglu” mocno zdenerwowane: znając, czy nie znająd?

Na koniec dozorczyńi otworzyła „magiel” i kazała nam wracać do celi. Znowu przy spłuwaczkę słyśmy całą gromadą. Szurka schyliła się błyskawicznie. Jest. Szybko schowała go pod bluzkę.

Nasza cela była zupełnie zdemolowana. Zabrano nam wszystkie sieniki i poduszeczki, bo słomy nie chciało im się wysypywać, a podejrzewali, że tam właśnie znajduje się sztandar. Na podłodze wały się kocy, ręczniki, miski i łyżki. Ubrania również nam zabrano na ten wieczór. Bielizna była zrzucona na podłogę. Chleb rozkrojono, cukier wysypano. Ale my wróciłyśmy z uczuciem szczęścia w piersiach. Naprawdę nie pamiętam, bym potem kiedykolwiek czuła takie zadowolenie z sukcesu, jak właśnie tego wieczoru, 30 kwietnia 1934 r.

Leżałyśmy tę noc na twardych drabinkach, lecz nie zwracaliśmy na to uwagi. Przegadałyśmy całą noc, byliśmy upojone czekającą nas walką.

Zaraz przy apelu miałyśmy przepięte czerwone kokardki, które oczywiście mimo naszych protestów zostały zdarte. Potem zjadłyśmy śniadanie i czekałyśmy na hasło do towarzyszy. O godzinie 10 rano usłyszałyśmy donośny głos mężczy: „Towarzysze! Niech żyje 1 Maja!” — „Niech żyje!” — podchwyciła cała komuna. „Precz z faszystowskim regulaminem więziennym! Precz!” — krzyczyłyśmy ile sił w piersiach. I w tym momencie z każdego okna cel politycznych wystawiony został kij z przymocowanym do niego sztandarem.

Nasz sztandar, pięknie wyhaftowany przez Szurkę, zabłysnął w blasku majowego słońca. Wówczas ustawiłyśmy się w dwuszeregu, na baczność i zaśpiewałyśmy Międzynarodówkę. Tym razem dozorczy wpadli tylko po to, by zedrzeć sztandar. A my śpiewałyśmy dalej. Było nas wówczas ponad 300 więźniów politycznych i w przeddzień czekającej nas akcji słowa o „boju, który będzie ostatnim” miały dla nas szczególne znaczenie.

Potem odbyła się akademія 1-majowa z referatem, pieśniami i recytacjami.

Administracja obesła się z nami bardzo łagodnie, ball się szukującej się akcji. Nie zwrócono nam tylko sienników, ale zostawiono nas w celi. Całą noc maszerowałyśmy w takt rewolucyjnych pieśni.

Później dowiedziałyśmy się, że takie same rewizje odbyły się po apelu 30 kwietnia we wszystkich celach politycznych, ale nigdzie administracji nie udało się zlikwidować sztandaru. 8 maja miała się rozpocząć akcja. Nie doczekałam się jej jednak. 4 maja kierownictwo komuny kobiecej i męskiej wywieziono do innych więzień. Ja wyjechałam do Sieradza. Administracja chciała w ten sposób załamać akcję, ale walka rozpoczęła się 8 maja zgodnie z nakreślonym planem.

Sara Nomberg-Przytyk

MŁODY inżynier nie bez odwołania lokalnej dumy powiada: — Bo to, proszę pana, w tej stacji filtrów dzieje się na odwrót, niż zwykle. Tam wodę filtrują z dołu do góry...

Nie zdążyłem się nawet zapytać, dlaczego dzieje się to „do góry nogami”, gdy zasypano mnie innymi ciekawostkami. A więc pierwszy w Polsce sklep samoobsługowy uruchomiono właśnie w Białymstoku. Jakiś generał carski podobno do dziś przewraca się w grobie. Jeszcze przed pierwszą wojną wybudował pomiędzy prochowniami w pobliżu miasta strategiczną drogę. Dziś po prochowniach nie zostało ani śladu, ale za strategicznej drogi powstaje piękna arteria, o jakiej marzą urbaniści ze wszystkich miast świata. W historycznym Domu Koniuszego kompletuje się Muzeum Ruchu Rewolucyjnego, ale jako żywo w tym domu żaden koniuszy nigdy nie mieszkał, najwyżej podprowadził konie gościom hrabiego Branickiego. Jedno z przedmieść — Wasilków — jeszcze przed 200 laty było nie tylko osobną, ale większą od Białegostoku miejscowością. Dziś szczyci się tylko dwoma rzeczami: śliczną cerkiewką i słupem ze znakiem PKS, stojącym beczelnie na samym środku jezdnii.

DRUGA MŁODOŚĆ BIAŁEGOSTOKU

JERZY DOSTATNI

Jeżeli już chodzi o przedmieścia, to białostockie stanowią jedyny tego rodzaju „zespół architektoniczny” w kraju. Dałbym mu pierwszą nagrodę w konkursie brzydoty i niewygodny. Pół wieku temu było to właściwie 10 drewnianych, ubogich wiosek, jak obwarunek otaczających mały Białystok, w którym tylko 3 domy miały „aż” 4 piętra. Ostatnia wojna niemal całkowicie zniszczyła murowane w większości śródmieście, ale dziwnym trafem oszczędziła owe drewniane przedmieścia. Środek miasta zamienił się jakby w pierwszej jakości ser szwajcarski, w którym więcej było dziur niż żywej treści. I tak okaleczono ciężko miasto, które właściwie miastem w nowoczesnym pojęciu nigdy jeszcze nie było, przez kilka lat z trudem lizano rany. Liczba ludności spadła ze 100 tysięcy do 50 tysięcy.

W kilka miesięcy po zakończeniu wojny gazety doniosły o przyznaniu nagrody Nobla wynalazcy cudownego leku — penicyliny. Wkrótce pojawiły się w mieście pierwsze buteleczki antybiotyku, leczącego najbardziej zaraźliwe rany. Trochę to wprawdzie potrafiło, ale na chwałę białostockich patriotów należy zapisać, że wynalazli penicylinę na leczenie ran swojego miasta. Tą penicyliną były nie tylko pieniądze, przyznane przez państwo na odbudowę miasta, ale przede wszystkim entuzjazm mieszkańców, dobrze opracowany plan, jego konsekwentna realizacja, śmiałość i dalekowzroczność w podejmowaniu decyzji.

No i wyniki są. Dziury szwajcarskiego sera zaczęły się szybko wypełniać. Jeżeli nie liczyć specyficznego wypadku Warszawy i Nowej Huty — właśnie Białystok był miastem, którego dynamika rozwoju była największa w kraju. Z 50 tysięcy ludności zrobiło się do dziś 130 tysięcy. Niemal cały przyrost pomieścił się w nowo zbudowanych domach. Ktoś, kto nie był dwa lata w Białymstoku, po przyjeździe gotów był pytać się podejrzliwie przechodniów, czy czasem nie zabłądził do jakiegoś innego miasta. Powstawały kolejno różne osiedla, duże bloki i małe domki. Nie zawsze najpiękniejsze architektonicznie, ale przecież o trzy nieba lepsze od tego, co było kiedyś. A przy tej ciężkiej pracy nie zabrakło ani dowcipu, ani fantazji. Odkrywam to na małym osiedlu, noszącym figlarną nazwę „Osiedle Marysi”. Ulice mają podobne nazwy: Zosi, Krystyny... A wszystko na cześć koleżanek architektów i techników, które pomagały mężczyznom w opracowaniu dokumentacji. Przychodzi tu w majowe popołudnia, trochę pooglądając własne dzieło, trochę posłuchać słowików i powąchać bżów, trochę poflirtować...

W śródmieściu wyrastają coraz to nowe i coraz ładniejsze — bez przesady — wysokościowce. Właśnie wystrzeżił w niebo 14 kondygnacjami biurowiec Wojewódzkiego Biura Projektów. Tuż obok 300-letniego pałacu Branickich, dziś siedziby Akademii Medycznej, pachnie jeszcze robotą pięknych gmachów Wojewódzkiej Komisji, Związku Zawodowych. Po drugiej stronie

ucy równie nowe bloki mieszkalne, rusztowania wokół Domu Technika, międzyszkolnej sali gimnastycznej, nieco dalej czynna już hala targowa...

Nie tylko romantyczne „Osiedle Marysi” dokonało wylomu w drewnianym obwarunku dawnych przedmieść. Położone dawniej za miastem Fasty stały się dziś dzielnicą. Kombinat włókienniczy w Fastach jest dumą województwa i samego Białegostoku, jedną z jego najbardziej żywotnych części. To wspólnym wysiłkiem finansowym i organizacyjnym miasto oraz fabryka wybudowały piękną, czterokilometrową ulicę. Po 14-metrowej, pierwszej tak szerokiej arterii w Białymstoku, który już stał się prawdziwym miastem, mkną autobusy, które zakupiła fabryka, a które eksploatuje miasto. Gdzieś w połowie drogi rośnie osiedle mieszkaniowe pracowników na gruncie przydzielonym przez miasto.

„Dzień dobry — przyjemnej pracy” — taki napis wita wchodzących do fabryki. Przy wyjściu zaś czyta się: „Do widzenia — dobrego odpoczynku”. Te proste, a pełne życzliwości słowa są chyba odbiciem dobrej, wspaniałej atmosfery, jaka panuje w kombinacie. Wyrabia się tu 87 mln metrów tkanin rocznie — z bawełny, włókien synte-

DAWID SFARD

LIRYKI

PRZEŁOŻYŁ

ARNOLD ŚLUCKI

Do siebie

Przychodzi do mnie słowo z daleka z zimnym wiatrem i rozbięra mnie z czasu, młęjsza i wszystko zasnuwa mrok tylko i smutek niemy.

A sam jestem latem upalnym, czczą dzisiejszością, czczą tutejszością i niby diament lśni każda godzina słońcem, radością i soczystymi pragnieniami.

Któż mnie więc tak odział w szaty chmur, kiedy gwiazdy świecą? I kto to drogi moje na obcych drogach zaplał, kiedy jasny śpiew na jasnych białych frontach i granic nocy strzeże i na kiel bierze, co czas gmatwa? Zagadka!

Powiedziałem: miła moja...

Powiedziałem: miła moja, witaj, a słowa były cięsze, niż modlitwa, gorętsze, niż lzy. Przez całą noc je niosłem

pracowicie i jako gwiazdki trzy podałem ci o świecie.

Lecz ku dniowi każda z nich zamarla i czystość ich do ciebie nie dotarła, jak ranne światło (twój uśmiech chłodem bryznął z zębów białych i cicho w sobie znów się skryłem cały.

Nie przyzywaj mnie

Nie przyzywaj mnie imieniem słowem, co się podoba — wszystkie imiona są nieme, upodobani są w grobach.

Próżno jawą słowa twoje kuszą i snem kołyszają. Uwierzyłem w obojętne, Ale kłamstwo wyszło.

We dnie drzewo piastowałem, we śnie mi rozkwitało. Wszystkie gałęzie ma cale, moje pościłało.

Spójrz

Spójrz: w górze płonę rana młodego nowiu — Jego krzyk bojowy trzyma... nam serca w pogotowiu. I jeśli zle gwiazdy rozsiewające swe fałszywe czary spróbują mu tego zakazać, to zbyt już pod nimi wyraźny czarny przepaści zarys.

* Dawid Sfarđ jest jednym z czołowych poetów żydowskich w Polsce, redaktorem miesięcznika literackiego „Idyżje Szriftn”, organu zamieszkałych w Polsce żydowskich pisarzy.

(Dokończenie na str. 9)

NOWY KODEKS RODZINNY

EMANUEL ISERZON

W SRÓD różnych organizacji społecznych istniejących w ramach państwa rodzina jest organizacją najmniejszą, ale najbardziej zwartą, zamkniętą w sobie, zazdrosną o swoją intymną samorządność i najbardziej trwałą. W rodzinie kształtuje się jednostka fizycznie i duchowo — nie tylko dzieci małoletnie, ale wszyscy członkowie rodziny. Tworzy ona zazwyczaj pewną wyraźnie zaznaczoną jednostkę psychofizyczną. Wpływ rodziny na jej członków nie wyłącza, rzecz jasna, innych wpływów wyznaczających rozwój jednostki. Ale oddziaływanie rodziny na siebie jest faktem doniosłym, którego państwo nie może ignorować. Nie wolno mu jednak podporządkować interesu rodziny jakimś rzekomo nadrzędnym interesem państwowym. Tego rodzaju nadrzędność nie istnieje w naszym państwie, które uznaje dobro jednostki za swój najwyższy cel. Zainteresowanie państwa losami rodziny nie może przekształcić się w zaprzeczenie rodzinie jej naturalnej, biologicznej autonomii.

Każde prawo normuje stosunki między ludźmi biorące początek z pewnych wydarzeń zachodzących w życiu społeczeństwa. Do takich wydarzeń należy biologiczne, tj. powstające w procesie życiowym, współzycie mężczyzny i kobiety i wynikające z niego współzycie rodzinne. Odpowiednio do tego pierwsze dwa tytuły nowego kodeksu 1964 noszą nazwy: Tytuł I — Małżeństwo i Tytuł II — Pokrewieństwo. Dawny kodeks rodzinny z 1950 r. obejmował dwa tytuły podobne: Małżeństwo i Rodzina i dzieci. Nowy kodeks zawiera ponadto jeszcze jeden tytuł: Tytuł III — Opieka i kuratela. Ten ostatni tytuł obejmuje nie tylko opiekę nad małoletnimi, a więc matery należąca do zakresu prawa rodzinnego (opiekun małoletniego zastępuje opiekę rodziców), ale również opiekę nad ubezwłasnowolnionym całkowicie, i kura-

telem — matery spoza domeny prawa rodzinnego, wykazujące jedynie analogię do materii prawa rodzinnego. Dlatego też nowy kodeks nazywa się nie jak poprzednio „Kodeks rodzinny”, ale „Kodeks rodzinny i opiekuńczy”.

Nowy kodeks utrzymuje zasadę, iż o zawarciu małżeństwa stanowi złozenie zgodnego oświadczenia woli nupturientów, że wstępują w związek małżeński — a nie sporządzenie aktu małżeńskiego. Samo więc zawarcie aktu małżeńskiego, choćby podpisane przez nupturientów, nie stwarza związku małżeńskiego. Jest to zasada uświęcona wiekową tradycją. Ma ona duży sens życiowy — jest „dobrą tradycją”. Uroczyste wobec świadków i pod powagą przedstawiciela władzy państwowej ustne oświadczenie nupturientów o tym, że pragną stanowić małżeństwo, jest rękojmią autentyczności wyrażenia woli, podczas, gdy uzyskanie podpisów nupturientów na akcie tej rękojmi nie daje; może być skutkiem nadużycia. Wyrazem tej samej „dobrej tradycji” jest postanowienie prawa o aktach stanu cywilnego, że akt małżeństwa stanowi tylko dowód zawarcia małżeństwa. Do tej zasady nowy kodeks wprowadza korektę: jeśli akt małżeństwa został sporządzony bez dopełnienia uroczystego oświadczenia, małżeństwo istnieje póty, póki ktoś mający w tym interes prawny przez wniesienie pozwu nie uzyska wyroku sądowego orzekającego o nieistnieniu małżeństwa.

Projekt nowego kodeksu zamierza wprowadzić instytucję przypominającą kościelne „zapowiedzi” — choć ter-

minu tego autorzy nie użyli. Kierownik urzędu stanu cywilnego miałby według projektu obowiązek podania do wiadomości publicznej imienia, nazwiska oraz miejsca zamieszkania nupturientów z jednoczesnym wezwaniem, aby każdy, komu wiadoma jest okoliczność wyłączająca możliwość skutecznego zawarcia przez nupturientów małżeństwa, mógł zawiadomić o tym urząd stanu cywilnego; dopiero po upływie miesiąca od daty ogłoszenia mogłoby nastąpić zawarcie małżeństwa. W dyskusji publicznej potrzeba takiej instytucji została zakwestionowana jako niecelowa i otwierająca pole do ludzkiej złośliwości. Kodeks z 1964 r. nie zna podobnej instytucji. Wymaga on jedynie, żeby strony złożyły kierownikowi urzędu stanu cywilnego pisemne zapewnienie, że nie wiedzą o istnieniu okoliczności wyłączających zawarcie przez nich małżeństwa. Małżeństwo nie może być zawarte przed upływem miesiąca od złożenia takiego oświadczenia. Ta instytucja w intencji autorów stanowiła ma tylko „pewien hamulec przeciwko lekkomyślnie zawierany związek”.

Jednym z najbardziej gorąco roztrząsanych zagadnień w dyskusji nad projektem była dolna granica wieku do zawarcia małżeństwa. Były różne propozycje. Komisja postanowiła podwyższyć granicę wieku tylko dla mężczyzn o trzy lata, tj. do ukończenia 21 lat, podczas, gdy dla kobiet utrzymała dotychczasową granicę wieku — 18 lat. Zwolennicy podwyższenia dolnej granicy wieku przytaczali nastę-

pujące argumenty: Wiek lat 18 w większości wypadków nie gwarantuje dostatecznej dojrzałości do zakładania rodziny; nie ma dostatecznych podstaw do zrównania wieku do zawarcia małżeństwa z wiekiem pełnoletności, ponieważ inne są przesłanki i skutki pełnoletności, inne zaś przesłanki i skutki zawarcia małżeństwa. W lonie Komisji pogląd, że należy podwyższyć granicę wieku do lat 21 i tylko w stosunku do mężczyzn motywowany był tym, że służba wojskowa jest w pewnej mierze przeszkodą do zawodowego ustabilizowania się mężczyzny. Nowy kodeks upoważnia sąd do udzielenia zezwolenia na zawarcie małżeństwa mężczyźnie, który ukończył lat 18 albo kobiecie, która ukończyła lat 16, jeżeli z okoliczności wynika, że zamierzone małżeństwo będzie zgodne z dobrem założonej przez nie rodziny oraz interesu społeczeństwa.

Nowy kodeks zawiera zakaz zawierania małżeństwa przez osobę ubezwłasnowolnioną całkowicie (ubezwłasnowolnienie całkowite orzeka się na skutek ustalonej choroby psychicznej albo niedorozwoju psychicznego, które sprawiają, że człowiek nie może kierować swoim postępowaniem). Ponadto nowy kodeks zawiera zakaz zawierania małżeństwa przez osobę dotkniętą chorobą psychiczną albo niedorozwojem umysłowym — nawet jeżeli nie jest ubezwłasnowolniona całkowicie. Sąd może jednak i w tym wypadku zezwolić na zawarcie małżeństwa, jeżeli stan zdrowia lub umysł takiej osoby nie zagraża małżeństwu ani zdrowiu przyszłego potomstwa, a osoba ta nie została ubezwłasnowolniona całkowicie.

W sprawie nazwiska mężatki dawny kodeks przewidywał dwie możliwości: mężatka przybiera nazwisko męża, lub zachowuje swoje nazwisko dodając do niego nazwisko męża. No-

(Dokończenie na str. 13)

Sylwetki literatów

u „doktora feliksa”

Tytuł czechowiczowski, bo tak się złożyło, że scenariusz poniżej zapisanej rozmowy jest właściwie pomysłem... Czechowicza.

Tematy kolejnych części rozmowy wynikały z wierszy i fraszek autora „nuty człowieczej”, zaś cytowanie ich było prawie koniecznością, kiedy mówiono o gronie ludzi tak blisko z Poetą związanych.

Na pytania niżej podpisane odpowiadały sięgając do swych wspomnień dwie właściwie osoby: prof. dr Feliks Araszkiewicz i Józef Czechowicz.

Profesor Araszkiewicz zapytany o działalność grona lubelskich bibliofilów powiedział: Jaka szkoda, że w czasie wojny spłonęła Kronika Lubelskiego Towarzystwa Miłośników Książki, w której protokoły przeplatane były poetyckimi impresjami pióra Czechowicza. Z tej „kroniki bibliofilów lubelskich” ocalało jednak to i owo (dzięki W. Ziolkowskiemu) — oddajmy głos autorowi:

Poeta:

Pan Tyszkiewicz odjedzie na via Giordani czar wieczoru rozleci się jak garść świetlików, my, księgom pięknym wierni i w nich zakochani wspomnienie zapiszemy w sere swych pamiętniku.

BK: Panie Profesorze, czy obecność Samuela Tyszkiewicza, wybitnego artysty — drukarza z Florencji, była wtedy faktem, czy to poetycka przenośnia?

Profesor: Proszę pana, każde słowo tego wiersza jest prawdziwe. Ks. Ludwik Zalewski, znany bibliofil i badacz dziejów Lublina, rzeczywiście gościł wtedy (jako prezes naszej „Konfraterni”) w swoim domu Tyszkiewicza. Zebrał się, pamiętam, w ciepły letni wieczór w ogrodzie koło Muzeum (gmach Biblioteki im. Łopacińskiego) i przy resztkach dziennego światła Tyszkiewicz rozkładał na ławce swoje druki, które oglądaliśmy naprawdę z modlitewnym skupieniem. Po chwili zresztą przenieśliśmy się do sal Muzeum, bo robiło się ciemno. Czechowicz przedstawił w swoim wierszu oczywiście prawdę używając przy tym genialnych porównań, świetnie odtwarzających atmosferę tego wieczoru. Zeszli się wtedy niemal wszyscy członkowie naszego Koła. Oprócz Czechowicza, ks. Zalewskiego i mnie, byli jeszcze: Wiktor Ziolkowski (J. Kot), Stefan Wojciechowski, Zygmunt Kukulski, Ludwik Kamykowski, Henryk Zyczyński, księgarz Franciszek Raczkowski, Henryk Zwolakiwicz i parę jeszcze osób. Każdy z obecnych pozostawił w życiu kulturalnym Lublina swój wkład. O każdym warto wspomnieć.

Poeta:

Kto nam otwiera dusze choć bez korkociąga? kto nas kład w wielowiecznych raduje widokiem? kto wino z kredensiku dla gości wyciąga? kto nigdy nie częstował malinowym sokiem?

BK: Oczywiście ks. Zalewski.

Profesor: Zgadł Pan. O Zalewskim zresztą napisałem obszernie wspomnienia (w tomie pod tytułem „Dzieła i twórcy”), które cenię sobie także i ze względu literackich jako szkic portretowy. Tu tylko dodam, że u ks. Ludwika najczęściej odbywały się nasze sympozjony, a wino — i to dobre — zawsze było w kredensiku... Z innych bibliofilów — działaczy społecznych, bo te pojęcia spletały się z sobą w na-



Feliks Araszkiewicz (fot. r. 1939).

szym pojęciu nierozdzielnie, trzeba podkreślić zasługi Zygmunta Kukulskiego, twórcy i prezesa Lubelskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, oraz przypomnieć sylwetkę księgarza Franciszka Raczkowskiego. W jego zresztą księgarni odbyło się w 1926 roku organizacyjne zebranie Koła Miłośników Książki — oczywiście nie obyło się bez wina. Kosztem Raczkowskiego wydawane też były druki bibliofilskie Koła. Był to księgarz-społecznik, pamiętam go jeszcze z lat szkolnych, sprzed pierwszej wojny światowej. W jego księgarni zawsze można było dostać wydawnictwa zakonordowane, sprowadzane nie wiedzieć jakimi drogami. Wracając do naszych prac bibliofilsko-regionalnych: nie ograniczaliśmy się nigdy do własnego grona i nasze „sympozjony” były tylko jednym, prywatnym nurtem działalności. Dla szerszego ogółu pomyślane były zainicjowane przede mną „wieczory czwartkowe” w ówczesnym gmachu Muzeum, w latach dwudziestych. Treścią ich były odczyty, głównie na tematy literackie, i wieczory autorskie poetów lubelskich, z którymi utrzymywaliśmy zawsze dość ścisły kontakt. Wieczory te cieszyły się wielkim powodzeniem wśród studentów, a nawet uczniów gimnazjalnych, przychodziło też wielu przedstawicieli różnych dziedzin wiedzy, lekarze, a nawet oficerowie. Z grona dyskutantów przypominam sobie, na przykład starego antykwarusza z ulicy Kapucyńskiej — Żyda (niestety nazwisko uleciało mi z pamięci), który często zabierał głos bardzo inteligentnie i rzeczowo; był on niepoślednim znawcą literatury. Uczestnicy zebranych pracowców różnie kierunki polityczne, od skrajnych prawicowców aż do komunistów; dyskusje bywały bardzo żywe i interesujące, ale nigdy z tytułu różnic poglądów nie było jakichś zadrażnień, czy niekulturalnych wystąpień.

BK: Działalność bibliofilska Pana Profesora łączy

się ściśle z pracami wokół kultury regionalnej — najważniejszą z nich było chyba założenie Lubelskiego Związku Pracy Kulturalnej?

Poeta:

Regionalistom trzeba znać najbliższe rzeczy, że najbliższa koszula nikt chyba nie przeczy.

Profesor: Chyba tak. Działalność Związku Pracy Kulturalnej (od 1934 roku), a tym samym i moja jako prezesa, istotnie miała w życiu naszego miasta duże znaczenie. Przede wszystkim Związek koordynował pracę mniejszych organizacji. Największym jego osiągnięciem była niewątpliwie budowa obecnego gmachu Biblioteki im. Łopacińskiego. To tak się łatwo mówi „budowa gmachu”, ale niech pan pamięta, że każdą złotówkę trzeba było zebrać ze składek, loterii, tak zwanych „cegiełek” itp.; bo przecież w owym czasie inicjatywa społeczna była zdana prawie wyłącznie na własne siły. Szczęśliwie się złożyło, że w naszym mieście nie brakło wtedy ludzi chętnych do pracy, nie oglądających się na honoraria, których zresztą w naszych wydawnictwach i pismach wtedy nie wypłacano.

BK: Pan Profesor ciągle mówi o pracy innych, ale przecież nie można zapominać, że w każdej inicjatywie, w każdym przedsięwzięciu w Lublinie tamtych lat zaznaczył się Pański pomysł, lub wkład pracy. Pisał przecież Czechowicz...

Poeta:

Feliks to znaczy szczęśny w urzędzie i domu, póki pisał krytyki nie wadził nikomu nie mogli mu przebaczyć jednak ludzie żil tej rzeczy, iż do naprawy wziął się rzeczypospolitej.

Profesor: Dobrze, że o tym mowa. W związku z tą fraśką wynikło nieporozumienie. Julian Krzyżanowski, pisząc wstęp do niedawnego wydania „Fraszek” Czechowicza, tę opatrzył uwagą, jakoby utwór dotyczył mojej pracy w Kuratorium. Pomyłkę tę prostowałem już w „Kamieniu”, ale warto wrócić na chwilę do tej sprawy.

BK: Chodziło tu przecież o Związek Naprawy Rzeczypospolitej — prawda?

Profesor: Tak. Trzeba panu wiedzieć, że jako student byłem członkiem tajnej organizacji młodzieżowej Zet (Związek Młodzieży Polskiej), której byli członkowie prowadzili w dwudziestolecie właśnie Związek Naprawy Rzeczypospolitej — organizację polityczną popierającą w zasadzie rząd, lecz stojącą poza BBWR. Związek Naprawy nie był organizacją opozycyjną, ale nastawioną był do wielu poczynąń rządu krytycznie, wychodząc z pozycji lewicowych — syndykalistycznych, a zwalczając przede wszystkim ówczesne nadmierne rozwarstwienie partyjne. Członkowie Związku nie byli mile widziani w sferach rządowych, stąd też aluzje Poety do nielaski, jaka na mnie spadła ze strony władz.

BK: Czy można zapytać o plany twórcze Pana Profesora?

Profesor: Wolalbyśmy nie uchylać zasłony nad przyszłość. Mogę Panu tylko powiedzieć, że zacząłem właśnie pisać pamiętniki.

BK: Wobec tego pozostaje tylko życzyć Panu Profesorowi szybkiego ich ukończenia; będą na pewno ciekawym i cennym źródłem do poznania życia naszego miasta w pierwszej połowie dwudziestego wieku.

Rozmowę przeprowadził
Bohdan Królikowski

NA zwykle tak cichej ulicy, przy której mieszkaliśmy teraz, do późnej nocy panował ruch. Bez przerwy przejeżdżały samochody, kręcili się żołnierze hitlerowscy i milicjanci ukraińscy. Na odgłos ich kroków zamierało mi serce. Wciąż miałam wrażenie, że to do nas właśnie idą. Nie podchodziłam jednak do okna, by nie budzić Leona.

Trudno było wprost uwierzyć, że to dopiero dwa dni minęły od chwili wkroczenia Niemców do Lwowa. Zdawało mi się, że to już trwa całe wieki.

Każda godzina przynosiła nowe udręki. Każdego dnia wydawało mi się, że ten dzień jest najstraszniejszy, ale potem przychodził następny jeszcze gorszy.

Rano zaledwie Leon wyszedł do biura, zjawił się Andrzej, woźny z Konserwatorium. Znalam go od najmłodszych lat. Od dnia, gdy po raz pierwszy przestąpiłam próg Konserwatorium. Trudno było mi w ogóle wyobrazić sobie Konserwatorium bez Andrzeja. Tak samo zresztą było z Jankiem, gdy zaczął uczyć się u prof. Śladka, a ja awansowałam na akompaniorkę. Przez wszystkie te lata tylko tyle się zmieniło w naszych wzajemnych stosunkach, że Andrzej przestał mnie „tykać”.

Teraz jednak zachowywał się tak, jak gdyby w ogóle mnie nie znał. Nie raczył się nawet przywitać, lecz bez wstępu bardzo urzędowo wyluszczył sprawę. Przyszedł z polecenia dyrektora Barwińskiego, który żąda, żeby Janek natychmiast stawiał się u niego.

Nie uwierzył, że chłopca nie ma we Lwowie. Oświadczył mi wręcz, że kłamie, że na własne oczy widział Janka tego samego dnia, gdy Niemcy weszli do miasta. Był ze starszym jakimś kolegą w Konserwatorium, włamali się do kancelarii, gdzie spalili wszystkie papiery.

Poczułam, jak nogi uginają się pod mną. Nie dalałam mu jednak nic poznać po sobie i powiedziałam mu, że to nie mógł być Janek.

Andrzej aż poczerwiał z złości i spytał, czy uważam go za durnia. Za dobrze zna przecież tych hultajów, by mógł ich nie poznać. Na pożegnanie zapewnił mnie, że gestapo potrafi znaleźć Janka.

Może w godzinę po jego wizycie rozległ się gwałtowny dzwonek. Gdy otworzyłam drzwi, na progu stało trzech hitlerowców w mundurach, na czapkach mieli trupie czaszki. Przyszli po Janka.

Próbowałam tłumaczyć im, że minęły już dwa tygodnie, jak wyjechał na wakacje, i że chyba zaszło tu jakieś fatalne nieporozumienie. Janek jest przecież jeszcze dzieckiem, nie może więc o niego chodzić.

Wywołało to u hitlerowców paroksyzm furii. Wszczęli i przedrzeźniali się.

„Dziecko! Dziecko! Ten bolszewik, to u niej dziecko! Ladnie pani to „dziecko” wychowała!”

Przetrasnęli całe mieszkanie. Zglądali do wszystkich kątów. Buszowali w szafach i szufladach. Pytali o męża, czy może także „pojechał na wakacje”. Powiedziałam im, gdzie Leon pracuje, ale zaraz okropnie się przeraziłam, gdyż uświadomiłam sobie, że mogą tam przecież pójść i zabrać go.

Kiedy wreszcie odeszli, mieszkanie wyglądało jak pobojowisko. Zabrali ze sobą wionoczelę Janka — Guarneriusa — wspaniałą dar profesora Śladka. Będzie to ciężki cios dla chłopca. Równie doskonałego instrumentu nie zdobędzie już chyba nigdy.

Skojarzyłam sobie całą tę sprawę z zachowaniem dyrektora Barwińskiego. Nie było wątpliwości, że to on przysłał gestapo po Janka. To on powiedział im o cennej wionoczelce. Przecież szukali jej od razu. Skąd wiedzieli o Guarneriusie, jeśli nie od niego.

A więc raczej mieli ci, którzy mówili, że Barwiński jest nacjonalistą, a tylko się maskuje. Mimo wszyst-

ko nie przypuszczałam, by był on zdolny do takiej podłości. Musiał chyba być od dawna na usługach hitlerowców. Kto wie, czy i to, że komсомолcy wtedy w Konserwatorium w ostatniej chwili zostali zatrzymani i nie wyjechali ze Lwowa, nie jest jego dziełem.

Miałam jeszcze jedną wizytę. Przyszła dozorczyńni — pani Fedorowska, zaplakana i bardzo nieszcześliwa. Mówiła, że gdy patrzy na to, co wyczyniają hitlerowcy, wstyd jej, że jest Ukrainką. Zapewnia-

oakropnych dniach lepiej jest być razem. Nigdzie nie było się teraz bezpiecznym.

Janek przyniósł mi, że tak, jak to mówił Andrzej, rzeczywiście był w Konserwatorium razem z Józkiem Frenklem. Musieli zniszczyć pozostawione w kancelarii spisy studentów należących do Komсомолu i inne jeszcze dokumenty, które w żadnym wypadku nie mogły dostać się w ręce hitlerowców. Jednak nie zdradził, w jaki sposób, będąc u pani Białickiej, dowiedział się, że papiery te tam są, i w ogóle, jak skontaktował się z Józkiem. Próbował zbagatelizować całą sprawę mówiąc, że nie było to nic wielkiego, że przecież w Konserwatorium poza woźnym żywej duszy wtedy nie było. Janek wiedział również, że Barwiński związał się z hitlerowcami. Bardzo współczuł jego synowi. Dla Iwa to był ciężki cios.

Zastanawiałam się nad tym, skąd Janek czerpał swoje informacje, skąd dowiedział się, że Iwo zerwał z ojcem wszelkie kontakty, że opuścił dom rodzicielski? Nigdy dotąd nie miał tajemnic, teraz jednak czułam, że nie powiedział mi wszystkiego. Ulokował Janka w pokoiku obok kuchni, skąd było wyjście na schody, prowadzące na strych. Sama kładłam się wprawdzie do łóżka, lecz nie myślałam o śnie, musiałam czuwać.

Około północy na ulicy zadudniły ciężkie kroki. Usłyszałam zaraz potem walenie do bramy i krzyki.

Pobiegałam do okna i ostrożnie uchylając firankę wyjrzałam na ulicę. Kilku żołnierzy dobijało się do bramy naprzeciwko. Zanim dozorca zdążył otworzyć, wybili szybę w oknie mieszkania znajdującego się na parterze i jeden z nich wtoczył się do środka w tej samej chwili, gdy w bramie ukazał się dozorca. Rzucili się na niego, bili go, kopali i obrzucili stekiem ordynarnych wyzwisk w języku ukraińskim.

Po chwili ujrzaliśmy ich w mieszkaniu adwokata Szenfelda. Chciałam obudzić Leona i Janka, by byli gotowi do ucieczki. Nie spali już. Stali przy oknie w sąsiednim pokoju i obserwowali, co się dzieje naprzeciwko. Wszyscy troje myśleliśmy to samo — że zaraz przyjdą tu do nas.

Widzieliśmy jak żołnierze, buszowali po mieszkaniu, jak brutalnie zachowywali się wobec adwokata Szenfelda i jego rodziny, jak adwokat ubrał się do wyjścia i pożegnał z żoną i córkami. Światło zgasało. Znowu zadudniły złowieszcze kroki. Znowu słychać było głośnie przekleństwa i plugawe słowa.

Następna noc również nie była spokojna. Kiedy tak leżałam czuwając, słyszałam jak bez przerwy jechały samochody. Zatrzymywały się gdzieś w pobliżu, odjeżdżały i znowu wracały. Miarowy stuk żołnierskich butów wdzierał się w mój mózg. Całą prawie noc spędziłam przy oknie.

Rano wszystko wyjaśniło się. Z naszej ulicy zabrali docenta Progulskiego z synem i profesora Hilarowicza z sąsiedniej ulicy Piłsudskiego, a prof. Ostrowskiego i kilku innych profesorów z pobliskiej ulicy Romanowicza. Aresztowali też nocy dwudziestu kilku najwybitniejszych naukowców lwowskich. Niekórych zabrali z żonami. Chodzili z imienną listą. Nikt nie zna powodu aresztowań.

Leon przyniósł z biura wiadomość, że będzie już spokój w mieście, że specjalne oddziały, które urządziły pogromy opuściły Lwów.

Nie wierzyłam, by to piekło w ogóle mogło się kiedyś skończyć.

1) W pierwszych dniach okupacji na ulicach Lwowa zjawili się nacjonalisci ukraińscy ubrani po cywilnemu z czerwonymi opaskami milicji na ramieniu.

2) We Lwowie, Niemcy zaraz po okupowaniu miasta zarządził tzw. godzinę policyjną (ósmą wieczorem), po której nie wolno było znajdować się na ulicy do godz. 6 rano.

PIERWSZE DNI

STANISŁAWA GOGOŁOWSKA

la, że mogę zawsze na nią liczyć. Wręczyła mi dodatkowy klucz od strychu, o którym poza nią nikt nie wie. Leon będzie mógł w razie niebezpieczeństwa dostać się tylnymi schodami na strych i ukryć się tam.

Nazajutrz odwiedziła mnie pani Białicka. W tych koszmarnych dniach bardzo dokuczył mi brak wiadomości od Janka. Jak wynikało z relacji pani Białickiej, Janek też niepokoił się o nas i wrywał do domu. Jednak pani Zofii udało się go jakoś nakłonić do pozostania jeszcze u niej. Wątpiła jednak, czy na długo. Poprosiłam ją, by powiedziała chłopcu, że gestapo było po niego. Może go przekona, że nie powinien teraz jeszcze wracać do domu.

Pani Białicka powiedziała mi, że w dniu wkroczenia hitlerowców do miasta Janek wyszedł gdzieś w tajemnicy przed nią. Odkryła to przypadkowo, gdy weszła do jego pokoju, nie otrzymawszy odpowiedzi na wielokrotne pukanie. Nie było go dosyć długo. Po powrocie nie chciał powiedzieć, gdzie był.

Nie miałam już teraz żadnych wątpliwości, że Andrzej mówił prawdę, Janek rzeczywiście był w Konserwatorium.

Chwilami brakowało mi sił. Nie wiedziałam już nawet, co jest gorsze — pełne udręki i bolesnych niespodzianek dni, czy też koszarne, nabrzmiałe trwogą bezsenne noce. Leżałam nadsłuchując w ciemności. Nerwy miałam napięte do ostatecznych granic wytrzymałości. Lowiłam każdy odgłos ulicy. Odróżniałam każdy szelest. Rozpoznawałam już z daleka kroki żołnierskie. Wtedy oczekiwałam w napięciu, obliczałam odległość i kierunek. Strach, potworny strach, ogarniał mnie za każdym razem, gdy kroki zbliżały się do naszego domu, albo gdy jakiś samochód zwalniał bieg, czy też zatrzymywał się na naszej ulicy. A gdy Janek powrócił, groza tych nocy jeszcze uwielokrotniła się.

Chłopak zjawił się tuż przed godziną policyjną¹⁾. Wiedział, że gestapo go szukało w domu, a mimo to przyszedł. Chciał być z nami. Twierdził, że u pani Białickiej nie czuje się już teraz bezpieczny, gdyż zabrano z jej domu Olera — młodego, zdolnego malarza, który w 1939 roku, tuż przed wybuchem wojny, powrócił ze studiów z Paryża. Poza malarstwem nie go nie obchodziło, nie interesował się nigdy polityką. Może chłopak miał rację mówiąc, że w tych

2) Fragment książki pt. „Szkoła okrucieństwa”, która ukazuje się nakładem Wydawnictwa Łubelskiego.

(Dokończenie ze str. 7)

działacze białostoccy dążą do swego celu, oraz dalekowzroczność, z jaką układają swoje plany, konkretyzując perspektywy.

— Mamy koncepcję rozwoju naszego województwa do r. 1980 — powiedział sekretarz KW PZPR Sergiusz Rubczewski. Pomogła nam bardzo praca

Instytutu Geografii PAN. Na tej podstawie opracowujemy plany zagospodarowania przestrzennego różnych rejonów. Przewidujemy w przyszłości cztery zasadnicze rejony, nie zapominając oczywiście o pozostałym terenie. Będziemy zabiegali o inwestycje, ale w tych planach na pierwszym miejscu postawiliśmy wykorzy-

stanie wielkich rezerw, jakie kryje w sobie nasze województwo. Do r. 1980 przybędzie nam pół miliona rąk roboczych. Trzeba o tym myśleć już dzisiaj. Chociażby pół miliona hektarów użytków zielonych. To stanowi 15 proc. tego, co posiada cały kraj. Albo inna sprawa. Nasz chłop zużywa tylko połowę nawozów sztucznych używanych przeciętnie w kraju na 1 hektar. Obliczyliśmy, że aby uzyskać w kraju jeden kwintal zboża więcej, trzeba wysiać 3,2 kg nawozów sztucznych. U nas taki sam wynik wymaga zaledwie 0,3 kg. Nawozów sztucznych wciąż jeszcze mamy zbyt mało w kraju — głatego m. in. czekamy z utęsknieniem na wasze Puławy — ale z tego wyliczenia chyba jasno widać, gdzie przede wszystkim trzeba je dać.

Zapada wieczór. Wzdłuż nowych, wylanych asfaltem ulic zapalają się setki lamp jarzeniowych. W czterech punktach miasta migają kolorowymi oczami automatyczne światła regulacyjne. Na chodnikach niby wielkie stonogi przesuwają się kolorowe tłumy dziewcząt, chłopców, starszych. Ludzie miasta, które wykazuje niezwykłą żywotność. Miasta, o którym pierwsi kronikarze pisali równo 450 lat temu, a które bije w oczy młodocia swoich domów i szkół, ulic i sklepów, zapалу i uporu. Ta młodocia narodziła się na ruinach zburzonego śródmieścia, szerokimi arteriami płynie na przedmieścia, zmienia je kolejno, a następnie rozlewa się po całym województwie. Tej młodoci ducha mieszkańcom i działaczom Białegostoku — niezależnie od ich metrykalnego wieku — szczerze zazdrościsz.

Jerzy Dostatni

Druga młodość Białegostoku



DOM TOWAROWY W SUWAŁKACH

Takich nowych budynków w województwie białostockim jest bardzo wiele.

Okolo czwartą część ogółu nakładów inwestycyjnych przewidzianych na ochronę zdrowia przeznaczony się na rozwój lecznictwa otwartego w miastach i na wsi. Usprawniona będzie przemysłowa służba zdrowia. Ważnym zadaniem pozostaje rozbudowa sieci szpitali, zwłaszcza powiatowych.

(Z tez KC PZPR na IV Zjazd Partii)

— U nas piorun strzelił w dom i spalił się ten dom. Podczas palenia tego domu, to znaczy podczas pożaru, dwie małe dziewczynki były w domu — poraził je prąd. Rodzice je wynieśli i wkopali do ziemi.

— Czy ktoś próbował ratować je inaczej?

— Tak, ale ojciec stanął z siekierą i powiedział, żeby ich nie ruszać, bo pozabija.

— I co się stało z dziećmi?

— Po pewnym czasie umarły, uduśiły się.

— U nas we wsi miał chłopak iść do wojska, ale ojcowie chcieli, żeby nie szedł. Coś mu na nogę zrobili, „siny kamień” tarli czy co...

— I co się stało z nogą?

— Noga mu spuchła i szczerzwała.

— Czy był z tym u lekarza?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo bał się, że doktor na niego będzie krzyczał.

— Czy chodzi na tę nogę?

— Nie. To znaczy chodzi, ale tak kulawa.

— Ja jestem z PGR Woroniec, powiat Biała Podlaska. Chciałabym opowiedzieć o takim jednym wypadku. Jechałam kiedyś furmanką po jakieś zakupy. Po drodze przysiadł się do nas stary chłop. Tam w tej okolicy to jest znachor, ale taki dziwny. Najpierw to się ojciec zajmował leczeniem, a teraz syn. Najdziwniejsze to było to, że ten stary mieszkał we wsi, gdzie do ośrodka zdrowia jest dwa kilometry. Do znachora trząsł się na furmance dwadzieścia. Kiedy mu o tym mówiłam, to się tylko roześmiał. Znachor to chorobę poznaje po oczach, a doktor tego nie umie.

— Ja mieszkam w Szczawnicy. Miejscowość wydawałoby się kulturalna. Jest tu wielu lekarzy. Przez szereg lat mieszkała w sąsiednim domu pani, która zajmowała się leczeniem. Umiała wszystko leczyć. A najwięcej to leczyła ludzi na gardło. Na tarzycę. Przyjeżdżali tu z różnych stron ludzie. Najczęściej z okolic Czarnej Dunajca, Hałuszowej i innych wiosek. Po wojnie zaraz, gdy nie było tylu lekarzy, to drzwi się do niej nie zamykały. Teraz wyjechała. Ale ludzie przychodzą nadal...

— Mojej ciotki synowa ma dziecko, które bardzo płacze. Poszła z nim do „babki”, która kazała jej ugotować dwadzieścia siedem pierogów i te dwadzieścia siedem pierogów zjeść, a polewkę wylać na rozstajne drogi i na psa.

— A dziecko?...

— Dziecko jak płakało, tak płacze.

— Oddział noworodków szpitala powiatowego w Lubaczowie. Mówi siostra dyżurna oddziału:

— W czasie mego dyżuru przywieziono do szpitala dziecko z Wielkich Oczu w bardzo ciężkim stanie. Odwinęłam je z becika i pieluch i okazało się, że dziecko ma całe ciało oblepione prawie centymetrową warstwą ciasta. Kiedy przystąpiłam do mycia dziecka, matka zrobiła mi straszną awanturę, że co ja robię, przecież dziecko może zupełnie stracić pamięć!

— Relacja chirurga z tegoż szpitala:

— W czasie mego dyżuru przywieziono do szpitala młodego, osiemnastoletniego chyba chłopca ze skomplikowanym złamaniem nogi. Przeprowadziłem zabieg, założyłem gips. Trzeba było czekać na zrośnięcie kości. Miało to potrwać kilka tygodni. Chłopca na ten okres zabrano do domu.

— W tym samym dniu wezwano do domu „składacza”, który zerwał gips i nogę włożył w lupki.

— Historia zakończyła się tragicznie. Zakażenie, gangrena. Nogę trzeba było amputować powyżej kolana.

— Mówi się o higienie, zdrowiu. Często nie wszystko od człowieka jednak zależy. Weźmy dla przykładu choćby suchy rok. Ja mieszkam w Rzeszowie, w powiecie przemyskim. Myśmy w

ogóle wody nie mieli do picia, to jak tu utrzymać higienę? Przecież po wodę to jeździliśmy beczkami do lasu! Po kilka kilometrów.

— W ciągu ostatnich siedmiu lat jestem tu już po raz dwunasty może piętnasty. Wracamy często w rozmowie do tego samego tematu. „Jak wygląda stan sanitarny w waszej wsi, co się w niej pod tym względem zmieniło, a gdzie jeszcze tych zmian nie ma”.

— Są to przeważnie młode dziewczęta choć przyjeżdżają tu również kobiety starsze: matki, żony, gospodynie na samodzielnych gospodarstwach.

— Rejestruję te wypowiedzi, rejestruję ich sądy o współczesnych im problemach sanitarnych wsi, osad, miasteczek, tak jak zostały one powiedziane, bez retuszu dostosowanych do doraźnych potrzeb dziennikarskich uogólnień. Są wśród tych głosów opinie sprzed lat pięciu i te najnowsze nagrane kilka zaledwie tygodni temu.

— Są wśród nich głosy ze wsi podhalańskich, pracownic PGR z Lubelskiego, kobiet z dobrze zagospodarowanych wiosek w powiecie łańcuckim i wiosek odciętych od świata. Mówią kobiety z miejscowości, gdzie znajdują się ośrodki zdrowia i ze wsi, z których do najbliższego ośrodka jest trzydzieści lub czterdzieści kilometrów. Dziewczęta

Taki jest ton wypowiedzi sporej części przodownic zdrowia, z którymi rozmawiałem o ich dotychczasowej pracy.

— Ich rówieśniczki mówią, jak o rzeczy normalnej, oczywistej, wydarzeniu, które miało miejsce w samo południe, na oczach wielu dorosłych:

— U nas jedna gospodyni miała małą trzyletnią chyba córkę. W lecie poszła do żniw i zostawiła małą w domu. Dziecko spało. Po jakimś czasie zbudziło się, otworzyło skobel w sieni i wyszło na pole. Przed domem płynął strumyk, mały, płytki, po kamieniach przejść można suchą nogą. Ale w jednym miejscu jest zagłębienie większe, które chłopcy zrobili dla kąpielii. Mała weszła tam i zaczęła tonąć. Zanim dzieci zawołały dorosłych i matkę dziecka, dziewczynka utonąła.

— Czy ktoś próbował ją ratować?

— Nie. Było nas kilka dziewcząt i kobiet. Ale nie wiedzieliśmy, co można zrobić.

— Nie słyszała pani nigdy o ratowaniu topielca, o sztucznym oddychaniu?!

— Słyszałam, ale żadna z nas nie wiedziała, jak się to robi.

— Przy dalszej rozbudowie sieci ośrodków zdrowia, rozwoju lecznictwa otwartego i zamkniętego, rozwoju sieci

Zanim ogłoszą alarm...

ADOLF JAKUBOWICZ

po maturze i te, które ukończyły (lub nie) siódmą klasę szkoły podstawowej.

— Konfrontowałem wiele z tych opinii z opinią lekarzy wiejskich, szukałem ich potwierdzenia lub zaprzeczenia w miejscach zamieszkania moich rozmówców.

— Przez dziesięć lat Ośrodek Masowego Szkolenia Sanitarnego Polskiego Czerwonego Krzyża w Rymanowie Zdroju prowadzi szkolenie sanitarne wśród różnych grup zawodowych. Przechodzili tu szkolenie pracownicy służby drogowej. (Spotykacie przy drogach błękitne tablice z czerwonym krzyżem na białym polu i napisem w jakiej odległości od drogi znajduje się posterunek sanitarny. Posterunki te prowadzą właśnie ludzie przeszkoleni na kursach PCK). Szkołli się w Rymanowie-Zdroju ratownicy Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. W ciągu krótkiego czasu swej działalności GOPR-owcy bieszczańscy interweniowali setki razy w czasie wypadków na trasach turystycznych w Bieszczadach i Beskidzie.

— Były kursy sanitarne dla higienistek szkolnych, służby Terenowej Obrony Przeciwlotniczej, komendantek fabrycznych drużyn sanitarnych i inne.

— W ciągu dziesięciu lat istnienia ośrodka na około 150 różnego rodzaju kursach przeszkolono prawie siedem tysięcy ludzi. Tysiąc z nich to wiejskie przodownice zdrowia, dziewczęta, którym na miesiecy kursach dano elementarny zasób wiedzy, jak pomagać ludziom w nagłych wypadkach, jak opatrzyć ranę nim przyjedzie karetka pogotowia, co zrobić w wypadku porażenia prądem, utonięcia itp.

— Dano im wiele obiecującej „tytuł”, papierków o ukończeniu kursu nie uprawniający właściwie do niczego poza społeczną działalnością, pokrzepiono zapewnieniami o ich społecznej przydatności i odesłano do rodzinnych wsi. Nie, to nie ironia. Taka jest normalna, powszechna praktyka.

— Polski Czerwony Krzyż przeszkolił w kraju na podobnych zasadach ponad 8.000 wiejskich przodownic zdrowia. Pięć tysięcy z nich pracuje aktywnie w swych środowiskach spełniając wiele pożytecznych prac, udzielając pomocy i porady przedlekarskiej.

— Parę tysięcy młodych kobiet i dziewcząt rozrzuconych po wioskach całego kraju szuka dróg wykorzystania wiadomości zdobytych na kursie, szuka często w pojedynkę, bez pomocy ze strony środowiska, organizacji społecznych, przy drwającej obojętności sporej części społeczeństwa, które czeka, co też ta „doktorka” pokaże, jeśli nie stać ją nawet na zrobienie zastrzyku.

— Spora część z nich załamuje się, rzuca przyjętą na siebie misję szerzenia elementarnych zasad higieny w swej wiosce, rezygnuje z dalszego prowadzenia apteczki z zapasem podstawowych materiałów opatrunkowych, ma na kilka lat dość wszystkiego, co w jakikolwiek sposób wiąże się z sanitarną pomocą bliźniemu.

transportu sanitarnego „wypadki nadal będą chodzić po ludziach...”

— I wtedy człowiek zostaje sam, zdany na własną wiedzę i umiejętności, lub oczekuje na pomoc tych, którzy znajdują się najbliżej miejsca wypadku. Jakże często zdrowie i życie człowieka zależy właśnie od tej pierwszej przedlekarskiej pomocy.

— Dlatego ma rację Polski Czerwony Krzyż prowadząc masowe szkolenie sanitarne w zakładach pracy, wśród młodzieży, ma po trzykroć rację koncentrując coraz większą uwagę właśnie na problemach profilaktyki sanitarnej wsi.

— Problem: jak zostaną wykorzystane w tej pracy wiejskie przodownice zdrowia, w których przeszkolenie włożono sporo wysiłku i środków, jest niebagatelną częścią procesu sanitarnego wychowania mieszkańców wsi. Apel, by zajęło się nimi społeczeństwo nie jest metafizycznym wołaniem, — by wciągnęły je do współpracy koła gospodyń wiejskich i Związku Młodzieży Wiejskiej przyniósł już dobre i interesujące rezultaty.

— Powtarzanie, że powinna się nimi opiekować służba zdrowia stało się niemal samograjem.

— Rzeszowszczyzna, której w zakresie nasycenia kadrami lekarskimi środowisk wiejskich daleko w konkurencji do czołówki krajowej, gdzie szereg innych wskaźników określających poziom bazy lecznictwa zamkniętego i otwartego stawia nas na dalekich miejscach w skali krajowej, ma jeden czynnik, który każe wierzyć w potrzebę i celowość szerokiego działania oświatowo-sanitarnego. Jest nim dobra postawa przeważającej części społeczeństwa w stosunku do wszelkich inicjatyw profilaktyczno-sanitarnych podejmowanych przez służbę zdrowia, jest niewątpliwym proces wzrostu zaufania do nauki, wiedzy, do potrzeby podnoszenia higieny osobistej, higieny otoczenia, do racjonalnego wychowywania niemowląt i dzieci, do szczepień ochronnych.

— Dzięki tej postawie rodziców ilość zachorowań na niektóre choroby dziecięce znacznie spada. Ilość przypadków strasznej, wywołującej prerażenie choroby Heinego-Medina spada z 72 przypadków w roku 1959 do 4 w roku 1963, a ilość przypadków błonicy w tym czasie z 402 do 88.

— Zaszczepienie wieluset tysięcy dzieci odbyło się w warunkach niejednokrotnie niesłychanie trudnych, w czasie śniegów i zawił, w dobrej atmosferze zrozumienia ze strony społeczeństwa, służby zdrowia, aparatu rad narodowych.

— Zmiany, jakie przeszedł ten tak bardzo zaniedbany przez lata całe region w zakresie opieki nad dzieckiem, są imponujące i trudno je kwitować okolicznościowymi zestawieniami.

— Ale do idylli jeszcze daleko.

— Jeszcze dziś wielu, zbyt wielu ludzi

umiera u nas przedwcześnie, nabawia się trwałego kalectwa.

— Niedawno odbyło się w Rzeszowie posiedzenie Komisji Zdrowia Wojewódzkiej Rady Narodowej z udziałem przodowniczych 7 analogicznych Komisji w powiatach. Tematem posiedzenia była ocena sytuacji epidemiologicznej w województwie rzeszowskim. Jednym z referentów był konsultant wojewódzki chorób zakaźnych dr Kowalewski. Uzupełniali jego wystąpienia przedstawiciele służby epidemiologicznej, członkowie Komisji Zdrowia. Oto sygnał kilku palących problemów do rozwiązania.

— Teżec — choroba niemal w połowie przypadków kończąca się śmiertelnością, która co roku powoduje w Rzeszowskim zgon trzydziestu, czterdziestu osób. „Województwa krakowskie i rzeszowskie dostarczają dziś połowę wszystkich zachorowań na tę chorobę w kraju”. W Rzeszowskim zapadalność na teżec utrzymuje się na prawie nie zmienionym poziomie. Przypadki dotyczą przede wszystkim ludności rejonów rolniczych, wiejskich. W roku 1959 było tych przypadków 61, w 1961 — 71, w 1962 — 68, w 1963 — 75.

— Nie trzeba uzasadniać, jak bardzo potrzebna jest tu właśnie w tych wypadkach profilaktyka, umiejętność niedopuszczania do tej strasznej choroby. A więc szczepienia? W roku 1964 zaszczepi się skojarzoną szczepionką przeciw durowi i teżcowi ponad pół miliona ludzi w dwunastu powiatach województwa rzeszowskiego.

— Czy tylko szczepienia? A co robić tam, gdzie one jeszcze nie dotrą? Odpowiedź jest tylko jedna. Przestrzegać podstawowych zasad higieny, nie lekceważyć skałeczeń w myśl bezstronnej i beznamiętnej zasady „z tego się nie umiera...”

— Mówi jedna z przodownic zdrowia:

— „Byłam świadkiem tego wypadku. Kobieta skałeczyla się o cierni dzikiej róży. Kto by zwracał na takie drobniaczki uwagę. Pan wie, jak to jest w takich sprawach w gospodarstwie. Nie mogę do dziś zapomnieć, w jakich okolicznościach umarła. To było straszne. Tak umierał w czasie wojny jeden z jeńców, których transportowano pociągami na Zachód. Znacznie później dowiedziałam się, że to był właśnie teżec”.

— Kiedy w roku ubiegłym przeżywałam fale epidemii, najpierw duru brzusznego, potem ospy, ustawiliśmy się karnie w kolejce do szczepień. W sklepach znalazły się czyste fartuchy dla sprzedawczyń, regularnie kontrolowano urządzenia sanitarne nie szczędząc surowych kar w stosunku do zaniedbujących swe obowiązki kierowników i dyrektorów.

— Nikt wtedy nie odważył się kwestionować tych decyzji. Dziś, gdy minal okres alarmu, służba epidemiologiczna sygnalizuje nadal nieodpowiedni, a w wielu wypadkach wręcz fatalny stan techniczny studni publicznych w miastach i osiedlach, zafenolowane wodociągi w Dębicy i Mielcu czerpiące wodę z wonnej Wisłoki, ogólny niski stan sanitarny studni wiejskich.

— Ekspedientka odkrawająca mi dwadzieścia dekagramów boczu tymi samymi palcami odlicza mi resztę. N zwróconą uwagę odpowiada zdumionym. Proszę przyjrzeć się, jak nalewa się mleko w mleczarni, z jakich kufli pije się piwo obok kiosków...

— Nie dziwny się, że gospodyni przynosząca do miasta masło, śmietanę, sprzedaje je ze szmatki wątpliwej czystości, że źle sytuuje miejsca na śmieci i odpadki w swoim gospodarstwie.

— Przecież w szeregu miast publicznych wysypiska śmieci lokuje się wbrew wszelkim przepisom, a ludność miast przez które przepływają rzeki, właśnie na ich brzegach wysypuje wszystko to, co brudne, zużyte, niepotrzebne, w myśl starej praktyki, że przyjdzie „wielka woda” i to wszystko zabierze.

— Przysłowie mówi, że jesteśmy mądrzy po szkodziu. Czas byśmy zmadrzeeli przed nią.

— Zbyt jesteśmy biedni, by z powodu niedbalstwa, niechlujstwa czy całkowitego lekceważenia podstawowych przepisów sanitarnych, narażać siebie i otoczenie na choroby i epidemie. Trzeba zrobić wszystko, by wykorzystać każdą dostępną drogę do przekazywania ludziom tej prostej, nieskomplikowanej prawdy. Przekazania jej i na wieś i do miasta. Nie tylko dlatego, że mamy w województwie najmniejszą w kraju ilość łóżek szpitalnych przeznaczonych na leczenie chorób zakaźnych, ale w myśl dobrze pojętego humanizmu.

— Trzeba to robić wcześniej, zanim ogłoszą alarm.

JEST ich w Polsce ponad milion i sto tysięcy. Ogromna armia dziewcząt i chłopców w wieku od 8 do 16 lat, 10% wszystkich uczniów szkół podstawowych i średnich. Od 1937 roku, po reorganizacji Związku Harcerstwa Polskiego ilość jego członków wzrosła dwukrotnie. W najbliższych latach chcą osiągnąć liczbę bliźniaczą milionów. Posiadają swego rodzaju własny koncert prasowy, prowadzą stałe własne programy radiowe i telewizyjne; Wydawnictwo Harcerskie w ciągu 5 lat swej działalności wydało 230 tytułów książkowych o łącznym nakładzie 4.600.000 egzemplarzy. W 100 stanicach i harcerskich klubach technicznych rozwiercają swoje zainicjowanie techniczne. Własną flotyllą morską i śródlądową opiekują się przeszło 10 tysięcy harcerzy zreszonych w 330 drużynach żeglarskich. Zwolennicy motoryzacji działają w Młodzieżowej Służbie Rudzie. Jeszcze inni zajmują się hodowlą, ogrodnictwem, sadownictwem. Sama kadra instruktorska czuwająca nad rozwojem i wychowaniem tej młodzieży stanowi armię w armii: 40 tysięcy działaczy.

Na niedawnym, III Walnym Zjeździe ZHP w Warszawie, w którym uczestniczyło 600 delegatów z całej Polski oraz liczni goście na czele z Władysławem Gomułką, Edwardem Ochabem i Marianem Spychalskim, a także przedstawiciele władz naczelnych ZMS, ZMW i szeregu innych organizacji, Edward Ochab stwierdził w swoim przemówieniu: „codzienna, społeczna działalność Waszej organizacji ma wielkie znaczenie wychowawcze, kształtuje charaktery, przygotowuje młodzież do roli współgospodarza kraju”.

Podobne stwierdzenia zawierał referat programowy Głównej Kwatery ZHP: „Zadania ZHP na najbliższe lata”, wygłoszony przez zastępcę naczelnika ZHP — Wiktora Kineckiego: „Jednym z podstawowych zadań organizacji dzieci i młodzieży jest pomóc młodemu w zrozumieniu skomplikowanego obrazu życia, z którym spotykają się na co dzień. Pomóc dostrzeżeć w nim to, co piękne i postępowe, a także to, co stare i powinno odejść. Uczyć młodzież stawiać cele na miarę perspektyw rozwijającego się społeczeństwa i to uczyć nie w oderwaniu od życia, ale poprzez czynne uczestnictwo w tym życiu, poprzez udział, na miarę swoich sił i możliwości, w budownictwie w kształtowaniu nowych, socjalistycznych stosunków międzyludzkich, poprzez działalność, w trakcie której rodzic się winna nierozzerwalna więź tego, co osobiste, z tym co społeczne...”

Z zastępcą komendanta Chorągwi Lubelskiej, „druhem Witkiem”, prze-

gadaliśmy kilka godzin. Wiadomości dotyczące harcerstwa na Lubelszczyźnie, które notowałem skrupulatnie podczas tej rozmowy, wygładziłyby w punktach mniej więcej następująco:

1. Komenda Chorągwi Lubelskiej mieści się w domu przy ulicy i Armii Wojska Polskiego, w lokalu oddzielonym kilka lat temu po ZMP. Idą stąd rozkazy do dwóch i pół tysiąca drużyn harcerskich i szeregów zuchowych rozsiadanych na terenie województwa lubelskiego, skupiających ponad osiemdziesiąt pięć tysięcy młodzieży, którymi opiekuje się prawie 2.700 instruktorów, pracujących społecznie.

Harcerze

MIROSLAW DERECKI

2. Województwo lubelskie znajduje się na drugim miejscu w kraju (po Katowicach) pod względem liczby członków organizacji.

3. Od 1955 roku wzrost organizacji wyraża się cyfrą 72,1%.

4. Chorągiew Lubelska posiada największą w kraju ilość drużyn wiejskich, przed wojną harcerstwo na wsi właściwie w ogóle nie istniało.

5. Drużyny wiejskie pracują bez porównania lepiej od drużyn w miastach.

6. Metody pracy stosowane przez lubelskich instruktorów wśród harcerzy na wsi mają wysoką lokatę w Głównej Kwaterze; z ich doświadczeń korzysta Kwatera Główna w opracowywaniu metod pracy z drużynami wiejskimi w całym kraju.

„Chłopski harcerze” — tak pogardliwie nazywaliśmy trzech chłopców, którzy (o ironio i wstydzie!) doszłusowali do naszego zastępu, zastępu „Cwaniaków”! Na pierwszym powojennym obozie lubartowskiego hufca w Kozłowie. Pochodzili z jakiejś wiejskiej drużyny, byli małowinni, zastraszeni, zamiast plecaków (do największego sztyku należało wówczas posiadanie poniemieckich wojskowych tornistrów obszytych „cielakiem”) przytaskali ze sobą drewniane rekruckie kuferki. A ich mundury! Kiedy każdy szanujący się harcerz nosił krótkie spodnie „na dwie dłonie od kolana”, oni paradowali w skrojonych przez swoje matki „na zapas” i „na wyrost”, obszernych, długich, sięgających do połowy łyd-

ki. Były to istne „dynamówki”! Tylko że wtedy nie znaliśmy jeszcze tej nazwy. Za to całkowiec pasowało do nich straszliwe lubartowackie określenie: „galoty”. I właśnie takie określenie rzucił nam w twarz Działo Zalewski z zastępu „Tygrysów”. Powiedział w obecności całej drużyny: „No, to teraz zmienicie chyba nazwę, z „Cwaniaków” na „Galociarzy”. To było straszne. W dodatku nazwa chwyciła błyskawicznie w całym hufcu. Tak też i my, mściwie zaczęliśmy nazywać naszych trzech kolegów.

Trudno się dziwić, że nie wytrzymał do końca obozu. Po tygodniu spakował swoje kuferki i odmeldował się u komendanta. Zresztą chyba i bez ciągłych drwin czułby się źle w naszym towarzystwie. Nie mogliśmy znaleźć wspólnego języka. Bez szmrania wykonywali różne obozowe czynności, jak sprzątanie, obieranie kartofli, rąbanie drzewa, dla których to czynności żyliśmy wielką pogardą. Nie entuzjazmowali się tropieniem śladów, a już za zupełny kretynizm uważali na przykład zachowywanie przez całą dobę milczenia przy zdobywaniu „sprawności: „trzy pióra”. Co już bardziej tych „chłopskich harcerzy” interesowało, to pomoc w nagłych wypadkach...

Przypomniałem sobie tę pozornie mało ważną historię, kiedy mój rozmówca z Komendy Chorągwi zaczął szerzej mówić o pracy wśród wiejskiej młodzieży harcerskiej. Oczywiście, w ciągu minionych dwudziestu lat konflikt pomiędzy wsią a miastem (szczególnie miasteczkiem) znacznie się zatarł, jednak nadal sama specyfika życia i środowiska wiejskiego i miejskiego narzuca inne formy i metody działalności na wsi i w mieście. Chociażby punkt widzenia rodziców na wykorzystywanie czasu wolnego od nauki; zdobywanie sprawności żeglarskich na przykład może być przez jednych poczytywane za kształcącą rozrywkę, przez drugich za niepotrzebne marnowanie czasu i w dodatku marnotrawienie ciężko zapracowanych pieniędzy wydanych na ubranie dla syna czy córki, które przy tego rodzaju „wyczynach” może ulec zniszczeniu. Co innego jeżeli dziecko oddaje się zajęciom ze wszelkich miar pożytecznym, jak chociażby porządkowanie własnego podwórka czy budowa szopy na narzędzia gospodarskie.

I dlatego, jedną z pierwszych form działalności lubelskiej organizacji harcerskiej na wsi było zdobywanie nie tylko młodzieży, ale i... rodziców. Ogłoszono konkurs na najpiękniejszy ogródek kwiatowy, na najporządniej zagospodarowane podwórko. Tak powstał „Program prac pożytecznych”. Widąc konkretne wyniki, rodzice, niechętnie na ogół ustosunkowani do harcerstwa, zaczęli je chwalić. Co

więcej, w niektórych miejscowościach sami zaczęli brać czynny udział w harcerskich przedsięwzięciach. Przykładem może być szeroko swego czasu dyskutowana akcja „Kamień”. Polegała ona na tym, że harcerze wzięli się w czyn budowy dróg gromadzkich. Każda drużyna zobowiązała się zebrać co najmniej 3 m³ kamienia polnego do budowy dróg. Były zresztą i takie, które ambitnie zebrały pięć razy więcej. I często zdarzało się, że zachęceniu dobrym przykładem chłopcy zaprzęgali konie i pomagali swoim synom i córkom dostarczyć materiał na wyznaczone miejsce. Jeżeli w bieżącym roku województwo lubelskie wysunęło się na pierwsze miejsce w kraju w budowie dróg gromadzkich, jest w tym i zasługa harcerzy. Po akcji „Kamień” ruszyła hodowla. Na apel Komendy Chorągwi tysiące harcerzy zabrało się do hodowli królików. Akcja była prowadzona wspólnie z WZGS, który był zainteresowany w skupie zwierzątek. Spółdzielcy partycypowali i ryzykowali w tym wypadku dość duże sumy na zakup siatki, drzewa, cementu i innych materiałów potrzebnych do budowy klatek. Nie zawiedli się. W ciągu tylko jednego roku, dzieci dostarczyły do punktów skupu 76.000 królików, wśród nich okazy dochodzące do 12 kilogramów.

Akcja ogrodnicza i sadownicza prowadzona jest wspólnie z Instytutem Rolniczym w Puławach i lubelską Wyższą Szkołą Rolniczą. Dziesiątki drużynowych, którzy na wsi rekrutują się na ogół spośród nauczycieli, przeszkolono na specjalnych kursach w Puławach. Instytut puławski wysła bezpłatnie do współpracujących z nim drużyn sadzonki szlachetnych odmian drzew owocowych i wysokogatunkowe nasiona warzywne. Czy akcja chwyciła? W ubiegłym roku Główna Kwatera ZHP prowadziła wizytację chorągwi. W jednej tylko drużynie w powiecie radzyńskim wizytatorzy naliczyli 67 ogródków warzywnych prowadzonych przez dzieci z wielką dbałością, w myśl najnowszych metod rolniczych.

W Dobratyczach (hufiec Biła Podlaska) harcerze hodują kukurydzę. Najpiękniejsze kolby przywieźli do Lublina na naradę w KW PZPR podsumowującą akcję wiejskich drużyn. Podczas narady rektor WSR postanowił m. in. zaprezentować okazy kukurydzy wyhodowanej w jednym z wzorcowych gospodarstw. Przypadkowo natknął się na harcerzy z Dobratycza i... kukurydza rektora powędrowała szybko z powrotem do teckli.

Jesienią młodzież wyciąga z magazynów obozowe kotły. Rozpoczyna się „Akcja jesienna”. Po lekcjach, pod

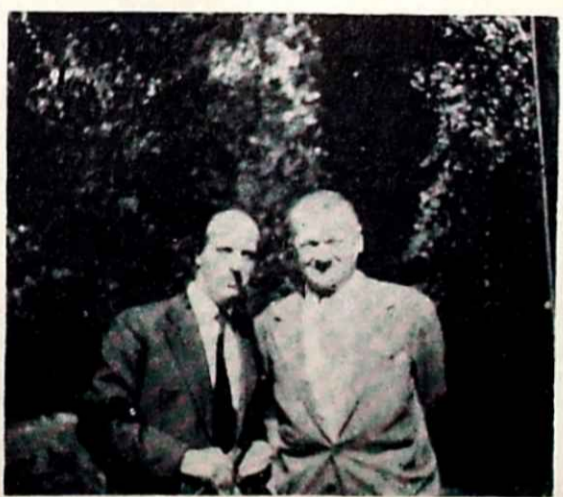
(Dokończenie na str. 12)

WSPOMNIENIE O BOLESŁAWIE LEŚMIANIE

(Dokończenie ze str. 5)

dłużej w pamięci tego obrazu, gdy nagle usłyszałem kolo trumny jakieś poruszenie. Spojrzałem mimo woli i zobaczyłem, że dr Dora Leenthal, która była obecna w kaplicy, rzuciła się ciężarem ciała na zwłoki Leśmiana i wargami swymi przywarła do warg zmarłego. Było to jakby przypieczętowanie miłości, która łączyła ją z Leśmianem. I stało się, jak przewidział poeta w wierszu „Jadwiga”, opublikowanym po raz pierwszy w „Czartaku”. „Inni boją się miłować krwi schorzałej szalenizną, a ja nawet potrafię kochać ciała zgniliznę!”.

Edward Kozikowski



Władysław Broniewski i jego tłumacz, poeta rosyjski Jerzy Sargonin kolo willi Broniewskiego w Warszawie przy ulicy Jarosława Dąbrowskiego.

DWIE OJCZYZNY JERZEGO SARGONINA

Trafił do naszych rąk mały tomik wierszy wydanych w Warszawie w języku rosyjskim. Ich autorem jest Jerzy Sargonin, rosyjski poeta od wielu już lat mieszkający w Polsce.

Urodzony w 1904 roku w Irkucku, w dzieciństwie stracił ojca, a matka powtórnie wyszła za mąż za Polaka. Cała rodzina przenosi się do Polski. Jerzy Sargonin ukończywszy gimnazjum studiuje język japoński w Instytucie Języków Wschodnich, następnie kończy Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Drukowanie utworów rozpoczął w roku 1925, lecz pierwsza jego książka „Wiersze wschodnie” wyszła w roku 1933 w Estonii. Dwa lata później ukazują się nowe wiersze „Wiosna w grudniu”. Tuż przed wojną wydrukował sztu-

kę „Arytmetyka życia”. Sztuka ta wyszła z Wydawnictwa „Russkij strannik” w Warszawie. W tym czasie poeta wiele tłumaczył z języków obcych, szczególnie dużo z języka polskiego.

W roku 1959 ukazuje się trzecia książka Sargonina „Wiersze o Polsce”. Prócz twórczości oryginalnej znajduje się tam wiele tłumaczeń na język rosyjski polskich poetów: Asnyka, Tuwima, Gałczyńskiego, Broniewskiego, Dobrowolskiego, Staffa i Karskiego. Twórczość Sargonina jest ściśle związana z życiem naszego kraju. Tak więc i w nowym tomiku znajdujemy wiele utworów podkreślających przywiązanie poety do swojej drugiej Ojczyzny.

Warto podkreślić, że Jerzy Sargonin, który jest członkiem grupy literackiej działającej przy Rosyjskim Towarzystwie Kulturalnym w Warszawie, został niedawno przyjęty do Związku Literatów Polskich.

Ze względu na stosunkowo nieduży nakład nowego zbiorku wierszy Jerzego Sargonina, książka ta jest

JERZY SARGONIN WŁADYSŁAWOWI BRONIEWSKIEMU

W Polsce mieszkam od dawna. Kraj ten pokochałem. Bo wloty i zwycięstwa zachwyć budzą ludzki; I głosu Twego chciałbym słuchać dalej, Lecz Ty odszedłeś, poeto rewolucji.

Lutowy śnieg nad grobem, między niebem, Lecz widzę Ciebie ciągle tu, wśród żywych Pokarmem wierszy syty niby chlebem Bylem Ci przyjacielem, wśród przyjaściół innych.

Znają nas poetyczne aleje Warszawy, Od lat już wzdłuż i wszerz Warszawę dobrze znam. Tu Wisła, tam Mazowsze, klucze Twojej sławy, A ja na brzegu stoję najzupełniej sam.

W Rosji ja wiem że lubią Cię, Broniewski, Choć trudniej się przyjmie co z cudziemiśmą brzmi Kreszczatik znasz, Arbat, i oczywiście Newski, Przecież i tam niemalo swych przeżyłeś dni.

Poznałeś czule słowa, poezję najlepszą I oto już u kresu życia zmęczonego Prosisz, żeby tej Rosji, niby znanym wierszom Przekazać pozdrowienie umierającego.

Więc piszę, że podobnie jak Ty, zostawimy Ślady serdecznych uczuć ludziom, naszym wiekom I czy to będą brzozy, czy też jarzębiny Człowiek zrozumie tego, kto był jak Ty poeta.

Przełożył Jerzy Księżki

do nabycia nie we wszystkich księgarniach. „Poe-mat mojej młodości” — jak również wcześniej wydany tomik „Wiersze o Polsce” — można nabyć w księgarniach z wydawnictwami radzieckimi.

i. k. s.

POWYŻSZY tytuł zupełnie świadomie nawiązuje do epoki zwanej umownie „minionym okresem”. W pełni rozkwitu owej epoki pojawiły się niewielkie książeczki zawierające gotowe teksty odczytów. Książeczki te dla wielu prelegentów stanowią jedyne źródło wiedzy o temacie, na który akurat mówili. Ponieważ wykraczanie poza ramy nakreślone tekstem broszurki było i tak raczej niezbyt dobrze widziane, książeczki te spełniały wspaniałą rolę im przeznaczoną: dawały prelegentowi minimum wiadomości, uwalniały go od konieczności wertowania literatury przedmiotu, uwalniały go od odpowiedzialności za głoszone słowa i w dodatku stanowiły nigdy nie wysychające źródło... humoru. Te ostatnią zaletę książeczek z cyklu „Z teki prelegenta” mogli oczywiście ocenić naleyście jedynie znawcy przedmiotu. Zdarzyło się na przykład kiedyś, że odczyt o hodowli zwierząt gospodarskich wygłaszał student medycyny. Rolnicy (rzecz się dzieła na wsi) w skupieniu wysłuchiwali różnych rewelacji na temat krzyżówek, dojności, karmienia. Kiedy jednak prelegent oznajmił, że w jednym z PGR-ów maciora przysparza państwu 52 prosiąt rocznie — na sali nastąpiło ożywienie, a tu i ówdzie rozległy się dyskretne chichoty. Prelegent w lot pojął, że coś z tymi prosiętami przesolił czy też nie dosolił, zerknął więc do broszurki i sprostował:

— Przepraszam najmocniej, pomyliłem się. Tu pisze, że tych prosiąt było 152.

Ogólna wesołość, która zapanowała na sali po tym *dementi*, kazala się prelegentowi domyślić, iż całkiem nieoczekiwane udało mu się opowiedzieć najlepszy dowcip, jaki zebrani słyszeli w ciągu ostatniego roku.

Czasy, gdy humaniści wygłaszali odczyty o Mieczurinie, a absolwenci kursów dla analfabetów mówili o lirycie Puskina i Mickiewicza, należą do przeszłości. Do przeszłości należy też cykl broszurek stanowiących kompendium wiedzy prelegentki. Ale odczyty wygłasza się nadal. Co więcej poziom tych odczytów jakże często niezbyt daleko odbiega od tamtych, wygłaszanych przez ludzi, których jedyną winą był nadmiar pewnością siebie, przy równoczesnym braku podstaw ku temu. Dziś odczyty z reguły wygłaszają fachowcy. Prelegent-omnibus, taki co to „i o atomie i o Sodomie” — zniknął, a mimo to od stolika prelegentki więcej często drętwa, beznamiętność, a prawie zawsze — nuda.

Ostatnimi czasy coraz częściej zaczynają się pojawiać w prasie głosy krytyczne. Krytykuje się prelegentów, krytykuje się instytucje parające się

Z TEKI PRELEGENTA

RYSZARD KRAŚKO

profesjonalnie krzewieniem wiedzy przy pomocy odczytów, krytykuje się tych, co słuchają, i tych, co za to płacą. Niechże i te uwagi wieloletniego prelegenta i wieloletniego organizatora różnych odczytów, pogadanek, spotkań, wykładów itd. będą wkładem w tę dyskusję.

KTO NAS SŁUCHA?

Mały Rocznik Statystyczny nie informuje, ilu ludzi słucha co roku odczytów, sądzę jednak, że w tabelach sprawozdawczych składanych władzom centralnym figurują wcale pokazuje, wielocyfrowe liczby. Czy liczby te oddają w sposób właściwy rzeczywisty obraz — to już zupełnie inna sprawa. Osobiście przekonany jestem, że wiele odczytów rejestruje się co najmniej dwukrotnie: raz rejestruje je instytucja „dostarczająca” prelegenta, drugi raz — instytucja „organizująca” słuchaczy, a trzeci, jakże często, odpowiedni związek zawodowy, organizacja młodzieżowa, społeczna itp., występująca jako współorganizator. Nie to jest jednak najistotniejsze. Wydaje mi się, że po to, by taka tabela dawała rzeczywisty obraz, musiałaby w niej jeszcze istnieć rubryka: „Słuchacze dobrowolni”.

Nie, nie! To nie złośliwość ani tym bardziej nie próba podważania autorytetu instytucji organizujących odczyty. Wiem, że do zamierzonych czasów należą metody „organizowania” audytorium za pomocą złośliwych podstępów i zarządzeń. Wiem, że nie stosuje się np. niezawodnej metody wygłaszania odczytów w dniu wypłaty. Znałem takiego dyrektora, który wydawał polecenie kasjerowi, aby pobory wypłacał po odczycie i tylko tym, którzy odczytu wysłuchali. A że w bramie fabryki stali wartownicy, którzy od tego dyrektora otrzymali polecenie nie wypuszczania nikogo przed odczytem, więc o frekwencję nie trzeba się było kłopotać.

Teraz się takich metod nie stosuje. Teraz prelegent spada na słuchaczy jak jastrząb na niewinne kuropatwy. Do wypełnionego po brzegi brydżystami klubu wchodzi sobie z niewinną miną taki pan z teczka albo i bez, zdejmując płaszcz i porozumiewawczo kiwa

głową w stronę kierownika placówki: że niby już, że może zaczynać. Kierownik klaszcze w ręce i oznajmia zaskoczonym amatorom brydża, że za chwilę taki to a taki magister wygłosi odczyt. dajmy na to, o hodowli pieczarek. Ha! Cios jest na ogół celny. Zanim się składowany brydżysta orientuje co i jak, zanim się zdecydował czy wyjść czy siedzieć, już jest słuchaczem, już powiększa liczbę statystycznych Polaków, którzy zostali świadkami w dziedzinie hodowli pieczarek. Może oczywiście wyjść w trakcie odczytu, ale po pierwsze — żal zaszczęgo robra, po drugie — jakoś nie wypada, a po trzecie — skąd wiadomo, że w sąsiednim klubie inny prelegent nie mówi o zwyczajach małżeńskich wśród Papuasów lub o wynikach badań glaciologicznych na Spitsbergenie? Skąd gwarancja, że tamten będzie mówił... krócej?

Właśnie krócej, a nie ciekawiej, bo takiego znokautowanego słuchacza naprawdę mało obchodzi o czym się mówi, byle krótko. Dba o to zresztą i kierownik klubu, który zazwyczaj przed rozpoczęciem odczytu prosi prelegenta: tylko krótko, na litość boską!

Powiecie zapewne, że przesadzam, że w klubach są przecież rozkłady zajęć, że zazwyczaj słuchacze są uprzedzeni o odczycie. Ano, bywa i tak, ale wtedy w sprawozdaniu w rubryce „słuchacze” widnieje żenująco mała liczba, tak mała, że nieraz trzeba ją „sztucznie” powiększać.

Odczyty odbywają się nie tylko w klubach, a więc i metody organizowania audytorium nie mogą być zawsze takie same. W zakładach pracy wygłasza się odczyty z reguły w godzinach pracy. W biurze — to tam jeszcze pół biedy, ostatecznie zamiast wysłuchiwać gderania szefa, czy plotek Kopyścińskiej o Kalwakiewiczowej, można raz wysłuchać tego sympatycznego bruneta (blondyna, szpakowatego, lysego — niepotrzebne skreślić). Gorzej już w zakładzie produkcyjnym, gdy trzeba się odrywać od kończącej właśnie cholewki do kamazsa męskiego numer 27 lub od skrzynki na owoce zbijanej według wzoru KST 33/457/64.

Na wieś prelegent przybywa najczęściej z filmem. Tylko nie ludźmy się, że na temat. To znaczy, że film

jest zawsze uzupełnieniem odczytu. Odczyt może być o życiu na Marsie, o wpływie literatury na rzeźbę w dobie antyku, o operowaniu wyrotka rolnikowskiego u Majów, zaś film — jak się zdarzy: raz z Brygittą, raz z Cybulskim. To nie ma zresztą znaczenia, bo osobnik, którego się raz przy pomocy filmu ścignęło do sali, dosiędzi energicznie do końca prelekcji, a o to głównie idzie.

Wygłasza się też odczyty podczas zebrań, uroczystych akademii „z okazji” i „ku czci”, podczas konferencji kwartalnych, roboczych, odpraw, narad, szkoleń itd. Samo się przez się rozumie, że z takiego odczytu także niekiedy nie wyjdzie.

Jak widzimy, stopień dobrowolności uczestniczenia w odczycie bywa różny. Bywa nawet tak, że ktoś specjalnie przychodzi na odczyt i gdy się dowiedzi, że z tych czy innych przyczyn odczyt się nie odbędzie — z żalem wychodzi z klubu, świetlicy, domu kultury. Tak też bywa, ale tylko bywa.

KOGO SŁUCHAMY?

Epoka „omnibusów” odeszła wraz z broszurkami „Teki prelegenta” do lamusa. Jeśli się ktoś dziś podejmie wygłoszenie odczytu, to możemy być niemal pewni, że jest to człowiek mający odpowiednio przygotowanie fachowe. Mimo to prelegent prelegentowi nierówny — jakby powiedział pewien mój znajomy emeryt uczęszczający regularnie na wszystkie odczyty wygłaszane w jednym z białostockich klubów,

Kategorię pierwszą prelegentów stanowią ludzie „grzebiący” się w jakimś jednym zagadnieniu. Są to świetni specjalści, tyle tylko że niechętnie wygłaszają odczyty. Żal im czasu, który muszą zmarnować (tak to określają) na przygotowanie odczytu, na dojazd, wygłoszenie. Przeliczają te godziny na strony, które mogliby przeczytać lub napisać.

Druga kategoria — liczniejsza od pierwszej — to prelegenci dorabiający. Przygotowują się sumiennie, bo z odczytów poniekąd żyją. Honoraria stanowią w ich miesięcznym budżecie pozycję nie do pogardzenia, przeznaczane są na kupno butów, ubrania, książek, często gęsto na spłacanie rat za motocykl czy samochód. Ci też przeliczają czas zużyty na odczyt, ale przeliczają go na złotówki. Ponieważ odczyty dają im dodatkowe dochody, starają się robić wszystko, aby tych dochodów nie utracić. Zależy im także na „nazwisku”: dzięki dobrym odczytom stają się po pewnym czasie lokalnymi sławami.

Trzecia kategoria — to profesjonalści. Taki „dziekiem się nie zajmie, tylko myśl o Eisteinie” — można by zacytować Osiecką. Tylko że Einstein — to dla niego nie hobby, to forsa. „Zapewnie 10 odczytów na taki to a taki temat — robię, nie to nie. Z jednym nie warto mi się peckać” — oświadcza organizatorom. Albo też umawia się z dziesięcioma kierownikami klubów i świetlic i potem „rabie” 10 razy z rzędu ten sam odczyt. Za piątym razem nie musi już nawet mieć karteluska z konspektem, bo umie wszystko na pamięć, a jeśli ma zdolności aktorskie, to i gesty, uśmiechy, efektowne zawieszenia głosu, ściszenia itp. ozdobniki opanuje tak, że ani razu się nie omyli, zawsze zrobi odpowiedni gest w tym samym miejscu. Nawet myśleć może o czymś innym... Coś w rodzaju elektronowego mózgu, tyle że sam sobie układa testy, sam utrwała i sam potem odtwarza w nieskończoność.

Istnieje też czwarta kategoria — „chałturszczyk pospolity”. Takiemu to już naprawdę wszystko jedno do kogo mówi, kiedy, byle „krótko mówić, a długo liczyć”. Ten gatunek najbardziej obmierzył jest na szczęście nieliczny. Lubią go organizatorzy, bo może mówić na każdy temat, byle z jego „branży”, nie pyta „za ile”, bo zdaje sobie sprawę, że wkład pracy, który włożył w przygotowanie i wygłoszenie odczytu, i tak jest o wiele, wiele mniejszy niż honorarium, jakie otrzymuje.

Prelegentów można by dzielić także i według innych kryteriów: z dykcją i bez dykcji, krasomówców i mamrotaczy, logicznych i balaganiarzy, trzymających się tematów i dygresjonistów itd., itp. Te podziały pozostawiam słuchaczom. Jako rutynowany prelegent dzieli kolegów po fachu tak, jak to wyżej wyraziłem. Jeśli się myślę, niech zaprzeczają... prelegenci.

ZA ILE MÓWIMY?

To są sprawy wstydlive. Inteligent, a to on jest z reguły prelegentem, nie lubi mówić o forsie. To nie znaczy, że nie lubi brać. K'woli ścisłości i dla całkowitej jasności obrazu musimy także kilka słów powiedzieć i o tym.

(Dokończenie na str. 15)

HARCERZE

(Dokończenie ze str. 11)

okiem drużynowych, zastępy zabierają się do przygotowywania powidel i marynat z owoców i warzyw wyhodowanych w ogródkach. Potem rodzice nabierają szacunku do nauczyciela i... do własnych dzieci.

W taki sposób harcerstwo niepostrzeżenie, w trakcie zabawy, która właściwie jest zwykłą szarą pracą, tylko że ubraną często w otoczkę niezwykłości, wychowuje przyszłe pokolenie świadomych rolników.

„Związek Harcerstwa Polskiego jest ideowo-wychowawczą, dobrowolną, samodzielną organizacją dzieci, młodzieży i instruktorów” — mówi 2 punkt Statutu ZHP. I w tej dziedzinie: kształtowania ideowej i spo-

lecznej postawy najmłodszego społeczeństwa, lubelska Chorągiew stosuje interesujące metody pracy. Jej pomysły to na przykład „Akcja drużyn sztabiarowych”. Drużyna, której ambicją jest otrzymać miano „sztabiarowej”, podejmuje „czyn sztabiarowy”, czyli stawia sobie co najmniej 7 zadań (czynów społecznych), po których wykonaniu i pozytywnym ich oceniu przez odpowiednie władze harcerskie następuje wielkie święto drużyny: „najpiękniejszy dzień”. Od rana, przy specjalnie na ten dzień przywiezionym sztandarze hufca czuwa warta honorowa. Po południu rozpoczynają się główne uroczystości. Schodzą się wtedy do świetlicy harcerskiej rodzice, przyjeżdżają goście z kół przyjaciół harcerstwa z „powiatu”, a nieraz i z miasta wojewódzkiego, zaczyna się część artystyczna przygotowana przez młodzież. Potem jest spotkanie z działaczem rewolucyjnym mieszkającym na terenie danej miejscowości. Wreszcie następuje kulminacyjny moment uroczystości: drużyna otrzymuje prawo noszenia czerwonych chust harcerskich. Po raz pierwszy wiążą chusty na szyjach harcerzy — ich rodzice. A potem jest zabawa aż do... samej godziny dwudziestej. Według szkolnego regulaminu.

Można by jeszcze wyliczać dziesiątki różnych akcji społecznych prowadzonych przez harcerzy. „Niewidzialna ręka” ma na celu pomaganie ludziom starym, „Akcja Zety” — poznanie okolicznych zabytków, „Nieprzetarty szlak” — opiekę nad dziećmi chorymi i kalekami. Każda z nich stanowi czastkę społecznego wkładu młodzieży w życie naszego kraju. Praca harcerzy, praca Chorągwi Lubelskiej — która na XX-lecie PRL ma otrzymać miano Chorągwi imienia Manifestu PKWN — została nazwana przez jednego z przedstawicieli lubelskich władz partyjnych najpiękniejszą robotą polityczną.

Mirosław Derecki



Fot. B. Siwecki

Harcerze na dworcu.

Potrzebne są zmiany i pomoc

IRENEUSZ JAN KAMIŃSKI

W RAMACH średniego szkolnictwa plastycznego mieszczą się dwa zasadnicze typy szkół: licea sztuk plastycznych i licea technik plastycznych. Już obecnie szkoły są przepełnione, a liczba kandydatów zwiększa się z roku na rok, przede wszystkim wskutek tradycyjnej atrakcyjności zawodu i perspektyw rozwoju związanych z coraz większą ingerencją plastyka w życie codzienne, przemysł itp. Warto się więc zastanowić, czy szkolnictwo plastyczne o aktualnej strukturze i profilu nauczania uzasadnia zwiększanie rekrutacji młodzieży i rozbudowę sieci placówek.

Licea sztuk plastycznych, to w zasadzie szkoły ogólnokształcące, w których dodatkowo wykłada się przedmioty „artystyczne”: rysunek, kompozycję, malarstwo, rzeźbę oraz pozapozycję, jak historia sztuki. Ukończenie szkoły uprawnia absolwenta do ubiegania się o przyjęcie na studia wyższe wszystkich kierunków, nie daje natomiast żadnych formalnych uprawnień wykonywania zawodu plastyka określonej specjalności. Owszem — mogą absolwenci pracować w instytucjach kulturalnych jako kierownicy świetlic, domów kultury, klubów, ognisk plastycznych, mogą także zarobić na utrzymanie na etatach kreślarzy czy dekoratorów. Tak więc zasadniczym celem nauczania w liceum plastycznym jest przekazanie młodemu człowiekowi pewnego zasobu wiedzy ogólnej i praktycznej, który przede wszystkim ma mu pomóc w dostaniu się na wyższą uczelnię, a jeżeli nie, to w rozpoczęciu samodzielnej pracy w charakterze krzewiciela kultury plastycznej w społeczeństwie. Nie należy zapominać, że prace podejmują jedynie te osoby, które z różnych względów nie mogły rozpocząć studiów akademickich (średnio na Lubelszczyźnie ok 50%). Pod mianem „studium”, należy także rozumieć pobierających naukę w studiach nauczycielskich w celu uzyskania z a w o d u.

Dlaczego nie udziela się uprawnień wykonywania zawodu plastyka absolwentom liceów plastycznych? Co stoi na przeszkodzie przyjmowania tychże do Związku Polskich Artystów Plastyków i zapewnienia im pracy za pośrednictwem Pracowni Sztuk Plastycznych?

Odpowiedź jest bardzo prosta: ponieważ liceum sztuk plastycznych nie daje takiego zasobu wiedzy specjalistycznej, który by uprawniał do uzasadnienia. Tylko czy pięcioletni okres codziennej i wyteżonej pracy ucznia szkoły plastycznej, pracy bardziej intensywnej niż w zwykłym liceum ogólnokształcącym, powinien kończyć się otrzymaniem jedynie świadectwa dojrzałości? Sądzę, że wprowadzenie pewnej specjalizacji poszczególnych szkół i umożliwienie uczniom zdobycia określonego i konkretnego zawodu wyszłoby na dobre także instytucjom państwowym i współczesnym, otrzymującym pracownika o stosunkowo wysokich kwalifikacjach. I w tym słusznym kierunku zmierza reforma szkolnictwa przewidująca czteroletnie liceum z dwuletnią nadbudową specjalistyczną. Obecna struktura i cel nauczania realizowany przez licea sztuk plastycznych wydają się anachroniczne. I nawet prężne działanie i wysoki poziom nauczania, z jakim zetknąłem się w Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie, nie są chyba w stanie podważyć generalnego wniosku sugerującego zmiany profilowe i programowe szkół omawianego typu. Zmiany, które należy wprowadzić zarówno w interesie ucznia, szkoły, jak i społeczeństwa.

Aktualnie na terenie Lubelszczyzny istnieją dwa Państwowe Licea Sztuk Plastycznych: w Lublinie i Zamościu.

Liceum lubelskie wywodzi się z czynnej w latach międzywojennych „Wolnej Szkoły Malarstwa i Rysunku”, prowadzonej przez L. Mehofferową. Szkoła lubelska była w tych latach filią szkoły krakowskiej, a wykładali w niej wówczas m. in. Tadeusz Terlecki, Aleksander Lech Kłopotowski i Jan Wydra, a w późniejszych, trzydziestych latach znany już malarz Zenon Kononowicz. Po śmierci Mehofferowej, szkołę przejęła malarzka lubelska Janina Miłosiowa (w r. 1930), która i dziś jeszcze bierze aktywny udział w wystawach okręgowych w Lublinie, jednocześnie wystawiając z ogólnopolską grupą „Zachęta”. Podczas okupacji, w latach 1939-42 szkoła zawiesiła działalność, a w jej daw-

nych salach znalazły pomieszczenie kursy handlowo-kupieckie. Jednakże w kwietniu 1942 r., dzięki energii i poświęceniu Miłosiowej, szkoła znów działała, jako kursy poranne i wieczorowe. Na przełomie lat 1942/43 szkołę wyrzucono ze stalego lokalu przy ul. Chopina 11. I tym razem bezinteresowność Miłosiowej, która sprzedawszy rodzinna biżuterię uzyskała środki na kupno pomieszczenia, pozwoliła przetrzymać niezwykle ciężki okres i zadomowić się w nowej siedzibie przy ul. Złotej. Po wyzwoleniu Miłosiowa nadal prowadziła „Wolną Szkołę...”, która po kilkukrotnych zmianach nazwy przeszła pod administrację państwową w dniu 18 stycznia 1949 r. Stworzywszy organizację fundamenty szkoły Janina Miłosiowa poświęciła się wyłącznie twórczości malarskiej, rezygnując po roku z funkcji dyrektora Liceum.

Obecnie szkoła zajmuje przyciasny lokal przy ul. Grodzkiej, który w znikomym stopniu zaspokaja rosnące potrzeby. A zakupione kilka lat temu nowe piece ceramiczne i inny sprzęt czekają w magazynie przykryte szarą warstwą kurzu, o czym zresztą niejednokrotnie pisano w prasie lubelskiej.

(Dokończenie ze str. 8)

wy kodeks przewiduje trzecią możliwość: mążatka pozostaje przy swoim nazwisku. Takie uregulowanie jest uwzględnieniem postulatów organizacji kobiecych. Znając przywiązanie kobiet do tytułu mążatki łatwo przewidzieć, że nie będą one często korzystały z nowej możliwości.

W sprawie warunków do uzyskania rozwodu rozgorzała w drugiej połowie 1962 r. ożywiona dyskusja prasowa. Wzięli w niej udział publicyści i prawnicy — praktycy i teoretycy. Zwolennicy najszerszego ułatwienia uzyskania rozwodu, w wypadku gdy małżeństwo stało się martwe, podnieśli, że dotychczasowa legislacja i orzecznictwo, mimo że odrzuciły zasadę nierozdzielności węzła małżeńskiego, zbyt utrudniają uzyskanie rozwodu nawet w wypadku niewątpliwie zupełnego i trwałego rozkładu małżeństwa. Kodeks z 1950 r. nie uważa zupełnego i trwałego rozkładu pożycia za dostateczny warunek do orzeczenia rozwodu. Żąda dodatkowego stwierdzenia, że rozkład nastąpił „z ważnych powodów”. Próby ustalenia obiektywnego sensu wyrazów „ważny powód” zawiodły w praktyce sądu. Orzecznictwo w kwestii, co należy uważać za „ważny powód” przedstawia obraz zawyżonych wywodów psychologicznych i logicznych, nie faktycznie nie wyjaśniających. W tym stanie orzecznictwa sądy oddalały pozew o rozwiązanie małżeństwa nawet w tych wypadkach, gdy dobro małżonków i dzieci wymagało jego rozwiązania. Podnoszono niesłusność stanowiska, że nie można orzec rozwodu, jeżeli żąda go małżonek wyłącznie winny rozkładu a drugie z małżonków nie wyraża zgody na rozwód. Kultura współczesna postuluje, żeby małżeństwo, które uległo zupełnemu i trwałemu rozkładowi mogło być rozwiązane na żądanie któregoś z małżonków — nawet tego, po którego stronie jest tzw. wina. Ten postulat jest konsekwencją poglądu, że jednostka ma prawo do błędów i do jego naprawienia, ma prawo do szukania indywidualnego szczęścia w nowym małżeństwie. Doświadczenie życiowe uczy, że nieszczerliwe małżeństwo prowadzi do ruiny moralnej nie tylko małżonków, ale i dzieci z małżeństwa. Rozkład pożycia małżeńskiego jest główną przyczyną przestępczości małoletnich, a zawsze wypacza charakter i dzieciństwo dzieci.

Nowy kodeks przyjmuje zasadę rozwiązalności małżeństwa, które uległo zupełnemu i trwałemu rozkładowi, ale poważnie tę zasadę ogranicza. Rezygnuje on z założenia kodeksu z 1950 r., że dobro wspólnych małoletnich dzieci w pewnych warunkach wymaga utrzymania martwego małżeństwa. Nowy kodeks stanowi również, że mimo zupełnego i trwałego rozkładu pożycia należy odmówić rozwodu, jeżeli orzeczenie rozwodu byłoby sprzeczne z zasadami współżycia społecznego. Myśl ustawodawcy można zilustrować przykładem przytoczonym w uzasadnieniu do projektu: żona po 30-letnim pożyciu i wychowaniu kilkorga

Just. obecnie szkoła jest przepełniona. Liczy ona 220 uczniów, a rok przyszedł prawdopodobnie powiększy tę liczbę. Brak funkcjonalnych pracowni uniemożliwia zapoznanie młodzieży z nowymi technikami i materiałami, nie pozwala na rozwiązanie szeregu problemów metodycznych związanych ze studiami kompozycji i rzeźby. Pomimo niedogodnych warunków lokalowych młodzież szkoły reprezentuje wysoki poziom ogólnego wykształcenia plastycznego, czego rezultaty miałem możliwość oglądać w pracowni rzeźby (przedmiot ten wykłada art. rzeźbiarz Baranowski). W szerokiej ramach do realizmu do abstrakcji realizują się zdolności i inwencja wychowanków lubelskiego Liceum, kierowanych przez pedagogów, z których bez mała wszyscy mają ukończone wyższe studia.

Szkoła lubelska, posiadająca bogatą tradycję i znaczne zasługi dla miasta, znajduje się w ciągłym rozwoju i władze miasta winny zatroszczyć się o polepszenie jej sytuacji lokalowej, tym bardziej że termin oddania do eksploatacji kompleksu szkół artystycznych w Lublinie jest bardzo odległy.

„Najmłodszą” szkołą plastyczną Lubelszczyzny jest Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Zamościu założone w r. 1945 jako prywatna Szkoła Sztuk Plastycznych, upaństwowiona w r. 1946. Pobiera w niej naukę młodzież z kilku województw: lubelskiego, krakowskiego, warszawskiego i in. Od dłuższego czasu szkoła posiada stałą liczbę 180 uczniów oraz najliczniejszą w województwie klasę V. I tu, podob-

nie jak w Lublinie, najbardziej palącym problemem są warunki lokalowe szkoły. Zanim zostanie wybudowany nowy budynek, należałoby pomyśleć o adaptacji dotychczasowego. Jak wiadomo, Zamość należy do najlepiej zagospodarowanych miast Lubelszczyzny i władze miejskie znalazłyby chyba fundusze na renowację. Najwyższy też czas na znalezienie nowego pomieszczenia na internat męski, który obecnie mieści się w gmachu sądu, i nie posiada ani kanalizacji ani wodociągu. Szkoła zamojska, obok właściwej sobie roli, spełnia również bardzo pożyteczną funkcję oddziaływania na upodobanie estetyczne społeczeństwa: wicedyrektor szkoły, znany malarz Marian Iwanców, otrzymał w ubiegłym roku nagrodę wojewódzką właśnie za upowszechnianie sztuki.

Obok omówionych szkół istnieje na terenie Lubelszczyzny jedyne Liceum Technik Plastycznych o odmiennym profilu nauczania. Podczas pięcioletniej nauki młodzi adepci rzemiosła artystycznego specjalizują się w określonej dziedzinie (zabawkarstwo, sprzętarsztwo), a po złożeniu egzaminów końcowych otrzymują świadectwo maturalne oraz dyplom technika-plastyka, czyli konkretny zawód i ewentualną możliwość jego pogłębienia w czasie studiów w państwowych wyższych szkołach sztuk plastycznych. A zapotrzebowanie na absolwentów szkół plastycznych-technicznych ciągle wzrasta; do dyrekcji szkoły napływają oferty ze strony spółdzielni zabawkarskich,

(Dokończenie na str. 15)

dzieci zapadła na nieuleczalną chorobę; mają występuję z pozewem o rozwód.

Nowy kodeks uznaje rozwód za niedopuszczalny, jeżeli żąda go małżonek wyłącznie winny rozkładu pożycia, chyba, że drugi małżonek wyrazi zgodę na rozwód. Dopuszcza jednak orzeczenie rozwodu na żądanie wyłącznie winnego małżonka, mimo sprzeciwu drugiego z małżonków, jeżeli odmowa zgody w danych okolicznościach jest sprzeczna z zasadami współżycia społecznego.

NOWY KODEKS RODZINNY

Nowy kodeks jak i stary nie używa terminu „poszukiwanie ojcostwa”, zastępując go terminem „upiększającym” — „sądowe ustalenie ojcostwa”. Stosunek prawa do tego zjawiska ma swoją bardzo pouczającą historię. Stanowi ona obraz zmieniających się kolejno poglądów na dopuszczalność sądowego poszukiwania ojcostwa.

W tej zmienności rzuca się w oczy zaskakujący fakt. Kodeks Napoleona (1804) ogłosił zasadę, że „poszukiwanie ojcostwa jest zakazane”. Dekret Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z 1944 r. uchylił prawo matki do żądania ustalenia ojcostwa i dochodzenia alimentów na utrzymanie dziecka urodzonego z ojca, z którym matka nie pozostawała w zarejestrowanym małżeństwie. Zdumiewa fakt, że dwa akty normatywne oddzielone od siebie okresem 140 lat, z których jeden był „biblią” zwyczajnej burżuazji, a drugi został ogłoszony w państwie socjalistycznym, są zbliżone w rozstrzygnięciu kwestii, czy poszukiwanie ojcostwa dla dziecka pozamałżeńskiego jest dopuszczalne. Jeden był motywowany tym, że społeczeństwo nie jest zainteresowane tym, by „dzieci-bastardy” poszukiwały swego ojca (Napoleon), drugi jest usprawiedliwiony tym, że państwo socjalistyczne stać na to, by otoczyć dziecko pozamałżeńskie dostateczną opieką. Zdawałoby się, że opinia publiczna powinna była w okresie tworzenia nowego kodeksu rodzinnego zająć się zagadnieniem, czy w dobie świadomego macierzyństwa i szeroko potraktowanej dopuszczalności przerywania ciąży należy zachować instytucję sądowego poszukiwania ojcostwa i alimentów dla dziecka pozamałżeńskiego.

Twórcy Kodeksu Cywilnego Królestwa Polskiego z r. 1825 recypując zasadę Kodeksu Napoleona w sprawie poszukiwania ojcostwa tak uzasadnili swoje stanowisko: „Natura nie wakała nam żadnych środków dla przekonania się, kto jest ojcem dziecięcia, wskazuje nawet względem dzieci w małżeństwie spłodzonych prawo musiało się ograniczać na samym do-

mnieniu. Przecież w dawnym systemacie prawa dozwolono poszukiwać ojcostwa. Mocne przeciw temu powstawały głosy. Sądy były teatrem gorszących rozpraw, wyroki nosiły na sobie cechę dowolności”. Te słowa charakteryzujące procesy o poszukiwaniu ojcostwa nie straciły na aktualności. Czytając je odbiera się wrażenie, że są one pisane dziś. Niezależnie od tego, jakie zajmujemy stanowisko w omawianej kwestii, nie możemy nie uznać słuszności uwagi, że procesy o ojcostwo są gorszące. Ich korzyść dla strony poszukującej jest wątpliwa. Komisja opracowująca projekt nowego kodeksu słusznie nie podjęła dyskusji w tym punkcie, skoro opinia publiczna nie zdradziła zainteresowania dla zagadnienia: prawo nie może być bardziej radykalne niż społeczeństwo, którego ma dotyczyć. Nowy kodeks oczywiście stanowi, że poszukiwanie ojcostwa jest dopuszczalne.

Dawny kodeks nie stanowił, że okoliczność, iż matka w okresie krytycznym obcowała również z innym mężczyzną, jest przeszkodą do uwzględnienia powództwa o ustalenie ojcostwa. Wykładnia przyjęła zasadę, że tego rodzaju zarzut, o ile nawet jego słuszność zostanie udowodniona, nie jest przeszkodą do uwzględnienia pozwu. Nowy kodeks przyjmuje już taką zasadę *expressis verbis*. Wprowadza tylko jeden wyjątek, gdy z okoliczności sprawy wynika, że ojcostwo innego mężczyzny jest bardziej prawdopodobne niż ojcostwo pozwanego. To zastrzeżenie jest zapożyczeniem postanowienia z wytycznych wymiaru sprawiedliwości i praktyki sądowej uchwalonych przez Sąd Najwyższy w 1952 r.

Przepisy o przysposobieniu (adopcji) uległy zasadniczej przebudowie. Kodeks wprowadza dwójakiego rodzaju przysposobienie: adopcję pełną, która prowadzi do zupełnego włączenia przysposobionego do nowej rodziny z jednoczesnym zerwaniem więzów prawnych między przysposobionym a jego rodziną naturalną, i adopcję niepełną, która powoduje skutki prawne jedynie między przysposabiającym a przysposobionym przy utrzymaniu więzów prawnych między przysposobionym a jego rodziną naturalną. Tylko ostatnia postać przysposobienia była przewidziana w Kodeksie z 1950 r. Wprowadzenie adopcji pełnej jest pozytywną zmianą, uwzględnia bowiem postulat wysuwany przez samo życie. Nowy kodeks wprowadza jeszcze jeden rodzaj przysposobienia — przysposobienie anonimowe. Polega ono na tym, że rodzice naturalni wyrażają zgodę na przysposobienie a góry, przed wszczęciem postępowania o przysposobienie, nie wymieniając osoby przysposabiającego. Ten rodzaj przysposobienia ma ten skutek, że w znacznym stopniu uniemożliwia późniejszy szantaż ze strony naturalnych rodziców. Przesposabiający na podstawie zgody anonimowej nie są bowiem znani rodzicom naturalnym.

Emanuel Iserzon

(Dokończenie ze str. 4)

biłem naukowym, należy pogratulować osiągnięcia młodemu autorowi.

Jedynym artykułem syntetycznym w omawianym zbiorze prac jest rozprawa M. Kurzątkowskiego pt. „Zabytki późnorenansowego snyderstwa dekoracyjnego Ziemi Lubelskiej”. Autor omówił w niej dużą liczbę stolarsko-snyderkich sprzętów z końca XVI oraz pierwszej połowy XVII w. Wnikliwie i trafnie określił autor formalną genezę tych dzieł, wskazując dla niektórych na niderlandzkie graficzne wzorniki ornamentalne jako źródło inspiracji. Zwrócił on także uwagę na związki artystyczne z Małopolską i Gdańskiem oraz możliwość istnienia lokalnych warsztatów snyderkich. Należy podkreślić, że praca Kurzątkowskiego, ze względu na swój temat i duży zakres terenowy, jest jedną z nielicznych tego typu w polskiej literaturze naukowej.

Dwa opracowania zostały poświęcone późnobarokowemu, a raczej rokokowemu, rezydencjom magnackim w Kozłowie i Lubuniach. T. Krzyżak — Libuchowa przedstawiła monografię rezydencji Bielńskich, później Zamojskich w Kozłowie. Autorka słusznie przesunęła czas powstania pałacu na koniec lat trzydziestych XVIII w., uważając, że „był na pewno jednym z pierwszych i ciekawszych przykładów architektury rokokowej na Lubelszczyźnie”. Uzasadnia także związki tego dzieła z architekturą warszawską doby rokoka oraz działalnością architekta Józefa II Fontany. Na uwagę zasługuje obszernie omówienie rozbudowy pałacu przez Zamojskich na przełomie XIX i XX w., będącej specyficznym odbiciem feudalnej megalomanii rodowej, posługującej się artystyczno-historycznymi rekwizytami. Stąd pretensjonalne nagromadzenie licznych kopii arcydzieł różnych epok i stylów. Jest to charakterystyczny dokument określonej koncepcji ideowo-artystycznej i jako taki powinien być zachowany, co słusznie postulują autorka.

Barokowy zespół pałacowy w Lubuniach koło Zamościa powstał w połowie XVIII w. z fundacji Jana Jakuba Zamojskiego. Gruntowne opracowanie tego obiektu przez A. Kurzątkowską powstało jako źródłowa dokumentacja historyczna do projektu odbudowy zabytku. Pałac w Lubuniach posiada wybitne miejsce w rozwoju rezydencjonalnej architektury w Polsce. Jest to bowiem najwcześniejszy na naszym gruncie przykład tzw. założenia typu palladiańskiego, polegającego na połączeniu korpusu pałacu z oficynami za pomocą galerii ćwierćkolistych.

Oprócz architektury murowanej został omówiony przez J. Górak jeden obiekt drewniany, kościół w Borowicy koło Krasnostawu. Jest to „jedyny w kraju utrzymany w czystości stylowej sakralny zabytek klasycystycznej architektury drewnianej, unikat swojego rodzaju”. Jego unikalny charakter polega na ściśle centralnym planie oraz zastosowaniu surowego porządku doryckiego we wnętrzu. Obiekt ten — jak nader przekonująco wywiódł autor — ma analogie jedynie z murowanymi kościołami projektowanymi przez wybitnego architekta Jakuba Kuckiego. Temuż artyście przypisał też Górak autorstwo projektu kościoła w Borowicy. Powyższa atrybucja nie budzi żadnych zastrzeżeń.

Nadto J. Górak osobno opublikował interesujący inwentarz rzeczy pozostałych po Edwardzie Blassie, budowniczym ziemieckiego pochodzenia, w służbie Jana Polejty w Rakolupach. Inwentarz został sporządzony po tragicznej śmierci budowniczego w 1825 roku.

Dwa artykuły poświęcił H. Gawarecki problemowi wyglądu dawnego Lublina, zarówno w oparciu o ikonografię, jak też pamiętnikarskie opisy. Bardzo wartościowy jest jego artykuł pt. „Najstarszy widok Lublina A. Hogenberga i jego powstanie w XVII i XVIII wieku”. Widok ten — raz pierwszy został opublikowany w dziele Jerzego Brauna „Civitates orbis terrarum” t. VI, wydany w Kolonii w 1611 roku. Omawiane skromne rozmiarami studium jest owocem poszukiwań w polskich i obcych starodrukach. Do artykułu zostały dołączone reprodukcje tych cennych źródeł.

H. Gawarecki opublikował także interesujący „Porównawczy opis Lublina z lat 1822 i 1889 Seweryna Liniewskiego”, uczestnika powstania listopadowego, który — lata szkolne i starość przeżył w tym mieście. Sylwetkę Liniewskiego odwozimy Gawarecki na podstawie rękopisu jego pamiętnika, znajdującego się w zbiorach Biblioteki im. H. Łopacińskiego w Lublinie.

Wyżej przedstawiony tom studiów posiada poważny ładunek naukowy. Opublikowane wyniki badań znacznie przekraczają regionalne znaczenie i stanowią najbardziej autentyczny wkład lubelskiego środowiska do ogólnego dorobku w dziedzinie studiów nad architekturą staropolską, bowiem szereg omówionych obiektów ma znaczenie pierwszorzędne w skali ogólnokrajowej. Wszystkie bez wyjątku opracowania cechuje rzetelność opracowania oraz skrupulatne wykorzystanie dostępnych źródeł. Dobrze się dzieje, że historycy sztuki tak świetnie umieją dotrzeć do archiwalii i starodruków i wykorzystywać je, że nie stawiają ryzykownych hipotez wyłącznie w oparciu o analizę formalną. Jeśli byłoby zastrzeżenie ogólnej natury, to może jedynie brak szerszych syntetycznych tematów, poza artykułem M. Kurzątkowskiego.

Wreszcie kilka uwag natury redakcyjnej. Wydaje się, że byłoby celowe zastosowanie ciągłej numeracji „Studiów”, oprócz numeracji zeszytów poświęconych poszczególnym specjalnościom. Biorąc pod uwagę wygodę czytelnika, należałoby przypisywać umieszczać u dołu każdej strony (jak w tomie poprzednim). Należy jeszcze gorąco zaapelować do Redakcji o sporządzanie przy każdym tomie indeksu nazwisk i miejscowości, co podniosłoby znacznie przydatność naukową wydawnictwa oraz ukazałoby w pełni całe „wewnętrzne” bogactwo dzieła. Podsumowując, należy pogratulować redaktorowi wydawnictwa I. Iskryczyckiej tak udanej publikacji. Wydanie już dwu tomów „Studiów” niewątpliwie podnosi rangę lubelskiego Muzeum jako patrona badań naukowych nad kulturą regionu.

Jerzy Kowalczyk

„Studia i Materiały Lubelskie” (R. 2) 1963, Historia sztuki (z.) 1 Lublin 1963 Muzeum w Lublinie s. 291, 80, ilustr., streszczenia ros. i ang., Lubelska Drukarnia Prasowa, cena 45 zł.



Michał Bałucki „Radey pana radey”.
Na zdjęciu: Nina Czerska (Eufrozyna), Włodzimierz Wiszniewski (rodzic Dżiszewski) i Zofia Stefańska (Ewa).

Klasyka zawsze modna

KRZYSZTOF GŁOGOWSKI

ZGODNIE z dobrym, wieloletnim zwyczajem Teatr im. J. Osterwy regularnie, w każdym sezonie przypomina swoim widzom pozycje z klasycznego repertuaru. Jak dotąd, przewagę ma jego racjonalistyczny nurt, łatwiejszy do wystawienia w lubelskich warunkach.

Do tego typu pozycji należą „Radey pana radey” pozytywisty Michała Bałuckiego, których można zobaczyć na naszej scenie. Sztuka ta, pierwsza premiery pisarza, nie należy do najczęściej wystawianych. Więc tym lepiej się stało, że właśnie ją zobaczyliśmy, a nie np. taki szlagier, jak „Grube ryby”. Bałucki co prawda w „Radekach” nie osiąga takiego stopnia doskonałości warsztatu dramatopisarskiego, jak w utworach dojrzałych. Niemniej już na początku twórczości dramatycznej znajduje swój genre komediowy i właściwą sobie problematykę — satyrę społeczną, opartą na własnych obserwacjach tak obfitej w śmiechostki rzeczywistości galicyjskiej.

Satyra ta oddziaływała na nas do dziś. Zmienił się jednak rodzaj tego oddziaływania. W wielu wypadkach śmiechy nas nie tylko to co Bałucki krytykuje, ale i zjawiska, które są dla tamtej epoki czymś normalnym.

Coraz większa odległość czasowa przyczyniła się do powstania dwóch stylów interpretacji scenicznych. Sztuki Bałuckiego według nich wystawiane stają się komediami sensu stricto, albo groteskami. W pierwszym wypadku zostaje zachowana historyczność widzenia, teatr stara się pokazać śmiechostkę zjawisk wykipianych przez pisarza. W drugim, przedstawienie w krzywym zwierciadle całego pokazanego świata robi groteskę z samego utworu i sposobu myślenia jego twórcy. Na dnie tej pozornie efektownej koncepcji kryje się łatwizna, nie trudno przecież być mądrzejszym w kilkadziesiąt lat później. Dlatego obecnie gra się Bałuckiego serio, między innymi świadczą o tym warszawska inscenizacja „Grubych ryb” u Dejmka i lubelscy „Radey”. Taką bowiem słuszną koncepcję obrał reżyser Zofia Modrzewska. Jej spojrzenie nie spycha „Radeków” do rangi farsy, nie wprowadza groteski. Sztuka Bałuckiego w jej ujęciu jest prawdziwą komedią. Tak inscenizowani „Radey” jawią się przed oczami widzów w pełni swoich walorów. Niesprawiedliwość sądów zaliczających Bałuckiego do bardzo ostatnich pisarzy staje się jawna.

Koncepcję reżysera dobrze zrozumi-

ał zespół aktorski, dzięki temu nie nastąpiło spłylenie myśli reżysera w kierunkach wymienianych powyżej. Włodzimierz Wiszniewski, grający Piotra Dżiszewskiego, świeżo upieczony radca miejski, który uczy się swoje dobro uznawać za dobro publiczne, może tę rolę uważać za sukces, umiejętnie zachował genre komediowy nie zbliżając się za bardzo ani ku grotesce, ani ku farsie, trafnie podkreślił satyryczny charakter odwarzonej postaci. Szkoda natomiast, że utalentowana aktorka Zofia Stefańska w roli Ewy — żony radcy uległa pokusie groteskowej interpretacji, szczególnie w pierwszym akcie. Bardzo miłym zjawiskiem, pełnym świeżości i wdzięku, była Lucyna Suchecka, grająca Helenkę, ich córkę. Zwraca uwagę precyzja, z jaką, mimo pewnych trudności głosowych, kreowała postać podlotka. Nina Czerska, w roli Eufrozyny — gwernantki, starej panny, podkreśliła przede wszystkim humorystyczność postaci, wytworzoną przez działanie konwencji sentymentalnej i niedostateczne ukrywanie prawdziwych pragnień. Marian Drozdowski jako Zdzisław nie przekroczył nadmierne bariery cwaniactwa, stwarzając swą charakterystyczną grą interesujący typ komediowy. Trafnym przeciwstawieniem rezolutnej Helenki był sentymentalny Karol w wykonaniu Andrzeja Chmielarczyka, bawiący swą niezaradnością.

Najbardziej się podobał drugi i trzeci akt, pierwszy miał trochę za wolne tempo. Cały zespół aktorski trafnie podkreślił specyfikę satyry Bałuckiego, przypominającej, zwłaszcza pod koniec, pozorny cynizm i ironię Maupassanta.

Swojego rodzaju problemem jest scenografia Lilianny Jankowskiej. Odbiega ona od stylu gry zespołu i od odczytanej z przedstawienia koncepcji reżysera. Wyeksponowanie secesji, wzorowane na starającym się szokować magazynie ilustrowanym „Ty i ja”, oraz kakofonia niektórych elementów dekoracji, nie odpowiadająca kolorystyce dawnego salonu, złożyły się na niezbyt przyjemną dla oka groteskę. Przydałaby się o wiele subtelniejsza stylizacja, wzorem tu może być scenografia Lucji Kossakowskiej do wspomnianego przedstawienia „Grubych ryb”.

Zastrzeżenia budzi też cena programu (ulożonego przez mgr Aleksandra Kobylińskiego), zbyt wysoka jak na prowincję i jego rzeczywistą wartość.

EMOCJE PRADZIADKÓW

Zgodnie z podtytułem książki W. Fillera nasi pradziadkowie darzyli cyrk wielką sympatią i zainteresowaniem, ale czy tylko pradziadkowie? Kilka razy zdarzyło mi się obserwować tłumy obiegające kasy cyrku „Arena”, lub opuszczające jego namiot wieczorem; tytuł ludźmi zwabił do kina może chyba „Przemienilo z wiatrem”, „Krzyżacy” lub western z Gary Cooperem, a teatr? a filharmonia? Tu lepiej nie porównywać. Cyrk jest nadal emocją, nadal śnią o nim starzy i młodzi, tylko cóż, przynależą trzeba, że cyrk spadł dziś do roli rozrywki na niebardzo wysokim poziomie.

Witold Filler w swej książce pisze głównie o wieku XIX — o złotym wieku cyrku, o okresie, w którym ten dziwoląg, połączenie rzymskiej areny ze średniowieczną budą z „cudami”, przeżywał swój „bohaterki” okres.

Autor w szeregu szkiców, z podziwu godną erudycją i dokładnością przypomina poszczególne etapy rozwoju cyrku. Książka to dosyć szczególna: mimo felietonowej lekkości stylu i żartobliwego tonu sprawnie wrażeń pracy naukowej, monografii historycznej, opatrzona jest bowiem bibliografią i zestawieniem chronologicznym, naszpikowana cytata i odsyłacami, na

modłę dzieł uczonych badaczy, ilustrowana dokumentalnymi zdjęciami i satyrami. Nie dajmy się zwieść żartobliwemu ujęciu, książka Fillera jest mimo pozornej bladości tematu (pozorne), bo historia kultury, jak życie ludzkie, składa się w dużej mierze z rzeczy drobnych, wielkie dzieła, wielkie zdarzenia nie są na porządku życia codziennego; rzetelnym opracowaniem historycznym. By ją napisać, autor musiał dobrze przysiedzieć faldów, przrzucając stare albumy, pamiętniki, a nade wszystko czasopisma i gazety. Mrówcza to zaiste praca, ywiolec z zakurzonych stołów półkowych gazet cenne szczegóły, u porządkować je i opracować. Praca trudna, ale i wdziękna, bo przecież grzebanie w starych papierach, przeglądanie dawnych gazet to dla miłośników przeszłości wielka przyjemność. W tym zresztą wypadku przyjemność była zapewne podwójna, bo i sam temat jest tego rodzaju, i potrafił autora i czytelnika oczarować, wciągnąć, z lekką odurzyką. W książce Fillera galopują konie, uśmiechają się piękne woltżerki, ryczą lwy, kłowni wskrzeszają Stańczykowe tradycje. Czytelnikowi wydaje się, że siedzi w loży cyrku Cinieliche, słyszy egzotyczną muzykę i ogląda barwne widowisko, jak z obrazu Seurata, starego obrazu, który na chwilę ożył. Zamykam książkę Fillera z westchnieniem: czemuż, u kaduka, nie poszedłem do cyrku? Trzeba to będzie zrobić przy najbliższej okazji (chociaż nie jestem pradziadkiem).

B. K.

Witold Filler: „Cyrk, czyli emocje pradziadków”. Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe, 1963.

Dlatego na przedstawieniu, na którym byłem, dużo mniejsza ilość osób niż zwykle była zaopatrzona w programy. Dla orientacji przytaczam, że tylusamo stronicowy, nieco większego formatu, bogato ilustrowany program z „Androklesa i Iwa” (Teatr Współczesny) kosztuje 2,70 zł (nasz 3,50 zł), a „Zycie teatru” nr 1 stron 28 kosztowało 3 zł (Teatr im. S. Zeromskiego Kielce — Radom). Koszty programu do „Radeków” podwyższyła zbyt duża ilość zdjęć nadających mu charakter programu operetkowego. Sztuka o takiej tradycji, jak ta, o której mowa, wymaga wspomnienia o jej dziejach scenicznych, o sławnych aktorach wyko-

nujących poszczególne role, przeszłe do historii teatru. Tak potrzebne omówienie twórczości Bałuckiego przez Alinę Aleksandrowicz spełnić tego nie mogło, w dodatku nie wiadomo dlaczego, wbrew zwyczajom, umieszczono je w wstydliwie na ostatnim miejscu. Dobrym pomysłem było zamieszczenie reprodukcji afisza z bardzo wczesnego przedstawienia „Radeków”.

W sumie wystawienie komedii Bałuckiego jest bardzo pożytecznym i stojącym na dobrym poziomie przypomnieniem jednego z najpopularniejszych klasyków literatury dramatycznej.

WIESŁAW GŁOWACZ

KSIĄZKA jest nieduża. Liczy wszystkie sto kilkadziesiąt stron. Ale jest potrzebna Kielecczyźnie. Jest potrzebna czytelnikom. Myślę o wydawnictwie „Nad Nidą”. Na jego treść składają się utwory powstałe w wyniku ogłoszonego dwa lata temu konkursu, zorganizowanego z inicjatywą grupy literackiej „Ponidzie”, znalazł wypracowania w Wydziale Kultury Prezydium Państwa w Łodzi, magazynu „Magazyn Wiedzy”, Wydawnictwa „Słowa Ludu”, KW ZMS, nie niedzielnym „Słowa Ludu”, Stowarzyszenia Dziennikarzy Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, urósł — przypominamy — do rzędu jednej z poważniejszych imprez kulturalnych w obchodzonej wówczas Roku Ziemi Kieleckiej. Widać to szczególnie wyraźnie dzisiaj, utwierdza w przekonaniu lektura Almanachu.

Autorzy prac, a dodajmy, że obok dziennikarzy o znanych reporterskich nazwiskach, przystąpili do konkursu przedstawiciele różnych zawodów: robotnicy, goście domowa, studenci, działacze społeczni — sięgnęli po tematykę przeżyć ocalałych i pierwszych lat okresu powojennego. Były to lata przeżyć bardzo napiętych i dramatycznych. Kielecczyźni nie szczędziła krwi w walce z okupantem. Niejedno życie pieczętowało trud formowania nowej rzeczywistości. Podjęcie tej problematyki przez ludzi niezwiązanych zawodowo z piórem można traktować jako przeobrażenie potrzebę ocalenia w pamięć ludzkiej ciagi tych wydarzeń, które przecież nie zawsze dadzą się wyrazić archiwalną dokumentacją.

Być może większość autorów nieprędko ponownie chwyci za pióro. Może w ogóle nie będą więcej pisać. Ale to, co otrzymali do rąk czytelników, stanowi materiał, którego wartość leży w stopniu w całości przekazywanych obrazach czasu przeszłego i jego uczuciową tonację.

Rozbudowane opowiadanie, opowieść, trudno o precyzyjną klasyfikację formalną, nie o to zresztą idzie, Ireny Dudek, pod tytułem „Jak na Zawiszy” opatrzone jest notką: 1945 rok — Opatów Kielecki. Trudno orzec, czy autorka zgłaszając swój utwór na konkurs dokonała w nim poprawek, czy powstały kiedyś spontanicznie, z potrzeby powierzenia papierowi myśli, doczekał się kilkanaście lat później nagrody. Ważne jest, że otrzymaliśmy obraz małego miasteczka z pierwszych dni po zakończeniu wojny. Choć z dala od głównych szlaków historycznych, miasteczko to, jak wiele innych, przeżywało swoje wstrząsy. Wpisano w jego historię nie tylko wydarzenia o znaczeniu nadregionalnym. Autorka podjęła sprawę innego widzenia siebie w otaczającym ją życiu, podjęła próbę znalezienia w nim swego miejsca.

Konflikt moralny, konieczność wyboru imię racji patriotycznych, zamknął Wilhelm Zieliński w krótkim opowiadaniu „Śmierć Hansa”, posiadającym zważną konstrukcję dramatyczną.

Warstwy zmian obyczajowych i socjologicznych Kielecczyżni dotykała reportaże Elżbiety Szanawskiej i Jerzego Zielińskiego oraz Tadeusza Zimeckiego.

„Ostatni zajazd na Kielecczyżnię” Szanawskiej i Zielińskiego opisuje słynną historię krwawych bojków między dwiema rodzinami w jednej ze wsi starachowickich. Ich przyczyną był zapiekły konflikt z powodu wspólnego użytkowania studni.

Tadeusz Zimecki w swym fresku reportażowym „Kraina Świętokrzyska” kreśli luźne epizody pełne lirycznej zadumy, własnych wspomnień i nakłada je na kontury tych zmian, jakie ziemia ta przeszła w swej dwudziestoletniej najnowszej historii.

Almanach „Nad Nidą” zawiera szereg utworów poetyckich. Piszą autorzy z grupy literackiej „Ponidzie”. Ich obecność w tym konkursie jest zjawiskiem. Tematyka wierszy związana jest silnie z najbliższym otoczeniem autorów. Realizuje się w tym zapewne model literackiej grupy regionalnej, która pragnie nie tracić z oczu problematyki swej rodzinnej ziemi. Widzi ją zresztą w bogatym i urozmaiconym układzie. Pełnia Ostrowca w utworze Ady Kopiczkiej, wiersze Ryszarda Fatygi, Konstantego Tarnowskiego są tego dowodem.

Spotykamy także utwory poetów, którzy Kielecczyżnę pokochali miłością od pierwszego wejrzenia. Są pod urokiem tej krainy. Potrafili uczynić z niej przedmiot swych lirycznych wrażeń. Konkurs przyniósł także swego rodzaju odkrycie poetyckie — myślę o poemacie Jana Gółki „Warkocz”. Kielecki plastyk dał się poznać jako autor, od którego mamy prawo oczekiwać dalszych utworów.

Kieleccy nieprędko będą mieć własne środowisko literackie. Nie rodzi się ono z dnia na dzień. Duże nadzieje można jednak łączyć z pracą grupy „Ponidzie”, może ona stać się zalążkiem środowiska pisarskiego. Jej obecność stała się faktem socjalnym i artystycznym w życiu Kielecczyżni. Przyszłość okaże, na ile spełnią się pokładane nadzieje. Nim to nastąpi, należy gorąco przyklaskiwać inicjatywom podobnym do tej, która zrodziła konkurs literacki sprzed dwóch lat. Podobne przedsięwzięcia są stosowną okazją do realizacji zasad, które nad miejscową twórczością artystyczną. Stawia się ludziom okazję, by uczucia do swej ziemi mogli zamknąć w kształt literacki. Niewielka książeczka Almanach Ziemi Kieleckiej „Nad Nidą” jest tego przykładem.

(Dokończenie na str. 13)
meblarskich i od innych zakładów przemysłu drobnego.

Liceum Technik Plastycznych w Naleczowie posiada bardzo bogatą tradycję, sięgającą początków naszego wieku, jest bowiem kontynuacją Szkoły Rzemiosł Artystycznych założonej w r. 1904 przez znanego ówczesnie działacza społecznego dr. Karola Beniego. Program nauczania obejmujący początkowo jedynie przedmioty zawodowe, jak zabawkarstwo, stolarstwo, wikliniarstwo, ceramikę i rzemę w drzewie, został rozszerzony o przedmioty ogólnokształcące, wykładane na kursach zorganizowanych przy wydatnej pomocy Stefana Żeromskiego. Znany krytyk, a jednocześnie malarz i entuzjasta „stylu zakopiańskiego” w budownictwie, Stanisław Witkiewicz, zaprojektował budynek „Szkoły Rzemiosł...” (dziś zajmowany przez Zaoczny Kurs Technikum Ekonomicznego). Szkoła, dzięki poparciu wybitnych osobistości, rozwijała się dość pomyślnie, a gromadząc plastycznie uzdolnioną młodzież z okolicznych wsi, realizowała pozytywistyczny program oświaty powszechnej — była szkołą Prusowych Antków. W r. 1929 z powodu braku funduszy szkoła przestała istnieć. Pozostały po niej budynki, trochę dokumentacji, a przede wszystkim żywa tradycja, z której po latach wyrosła inicjatywa reaktywacji podobnej szkoły, już w latach władzy ludowej. Oto w r. 1947, dzięki wysiłkom działacza Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”, Mieczysława Pazury, powstaje w Naleczowie Liceum Technik Plastycznych o charakterze prywatnym. Pewne wyobrażenie o nader skromnych początkach, może dać fakt, że tylko jeden z sześciu nauczycieli był pracownikiem etatowym.

Z T E K I prelegenta

(Dokończenie ze str. 12)

Prelegent TWP otrzymuje za odczyt od 70 do 150 złotych. Biorąc pod uwagę fakt, że tych, którzy otrzymują po 150, jest mało, a tych, co po 70 — bardzo dużo, można powiedzieć, że średnio każdy prelegent otrzymuje około 100 zł za prelekcję. Czy to dużo? To zależy od tego, jakiej kategorii prelegent tę sumę otrzymuje. Jeśli ten z kategorii pierwszej czy drugiej — to diabelnie mało. Przygotowanie się do odczytu zabiera mu ze trzy — cztery godziny, wygłoszenie — godzinę, dojazdy w najlepszym razie — godzinę, w najgorszym — pół doby. Gdy przeliczy się na efektywnie przepracowaną godzinę, wypadnie kompromitująco mało.

Jeśli prelegentem jest ten z grupy trzeciej czy czwartej — zapłata taka jest zupełnie godziwa. Przy czym nie zmienia faktu, że przeciętne honorarium za odczyt — to kilogram kiełbasy.

ZAMIAST ZAKOŃCZENIA KILKA WSPOMNIENI WŁASNYCH I CUDZYCH Z ODCZYTÓW WYGŁASZANYCH W RÓŻNYCH EPOKACH I ŚRODOWISKACH

Pewien prelegent miał kiedyś odczyt o Karolu Marksie. Mówił, nazwijmy to delikatnie, długo i nudnawo. Kiedy

PIERWSZE KROKI LUBELSKIEGO KKMP

PRZED trzema miesiącami powstał w Lublinie Ośrodek Wojewódzki Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy przy Zarządzie Wojewódzkim Związku Młodzieży Wiejskiej i Wojewódzkiemu Domu Kultury. Jest to ośrodek w tej chwili najmłodszy w Polsce, chociaż inicjatywa jego założenia w Lublinie nie jest bynajmniej nowa.

Młode pokolenie lubelskie ma wiele osób z wybitnym zacięciem literackim. Niektórzy mają za sobą pokaźną liczbę publikacji prasowych. Są także tacy, dla których publikowanie w prasie jest rzeczą przynajmniej na razie niemożliwą, nie rezygnują oni jednak ze swoich zainteresowań i starają się dogonić zaawansowanych kolegów. Aby to było możliwe, potrzebny jest stały kontakt z literaturą, z ludźmi, którzy mają w tej dzie-

Potrzebne są zmiany i pomoc

Przełomową datę w dziejach naleczowskiego liceum stanowi rok 1956, w którym szkołę przejęło państwo. Obecnie pobiera w rffej nauce 201 chłopców i dziewcząt, a kandydatów corocznie przybywa. I to z terenu całej Polski, ponieważ poziom szkoły i specyfika nauczanego zawodu należą do wyjątkowych w kraju. Obok przedmiotów ogólnokształcących, szczególnie rozwinięte jest szkolenie warsztatowe prowadzone w dwóch działach: sprzętarsztwa z plecionką oraz zabawkarstwa twardego i miękkiego. Nauka obliczona jest na rozwijanie naturalnych uzdolnień tkwiących w młodzieży, co osiąga się poprzez prace studyjne, ćwiczenia kolorystyczne, rozwijanie wyobraźni, lekcje malarstwa, kompozycji oraz przekazywanie elementów wiedzy o sztuce. Oglądałem w naleczowskim liceum interesujące zabawki wykonane z tekstylii, drewna, pileczek ping-pongowych, drutu, wspaniałe lalki „Bardotki” i funkcjonalne, szlachetne w formie wyroby z wikliny — kosze, damskie kobiałki i wiele innych przedmiotów łączących użyteczność z niebanalnym kształtem. I wtedy zrozumiałem, dlaczego prace szkoły wystawione na ubiegłorocznych wiosennych Krajowych Targach Poznańskich wzbudziły tak duże zainteresowanie licznych producentów spółdzielczych, z którymi nawiązano następnie ścisły kontakt. Należy jeszcze dodać, że dzięki pośrednictwu centrali handlu zagranicznego „COOPEXIM” projekty szkoły docierają do wielu państw, a ambicje dyrekcji i zespołu pedagogicznego szkoły zacierają w kierunku stworze-

nia typu zabawki polskiej, tak jak istnieje typ zabawki japońskiej, czy niemieckiej.

Jak już wspominałem, wszyscy absolwenci mają zapewnioną pracę po ukończeniu szkoły w wypadku nierozpoczęcia studiów wyższych. Stąd wypływa wniosek potwierdzający sensowność istnienia średnich szkół plastycznych typu zawodowego, dających młodemu człowiekowi pełne szanse egzystencji, mogącemu wylegitymować się określoną umiejętnością.

Istotnym mankamentem uniemożliwiającym rozwój szkoły są jej opłakane warunki lokalowe (podobnie jak w poprzednio omówionych placówkach). Kilka willi, w których mieszczą się sale wykładowe i warsztaty, urąga podstawowym warunkom efektywnej dydaktyki. Jednakże sytuacja ta ulegnie zmianie, ponieważ w pobliżu willi „Zacisze” jeszcze w tym roku zostaną całkowicie wykończone i oddane do użytkowania nowoczesne pawilony nowej szkoły. Chciałbym w końcu dodać, że prawie cały personel pedagogiczny Liceum Technik Plastycznych w Naleczowie posiada ukończone studia wyższe, a wielu wykładowców bierze aktywny udział w życiu plastycznym Lubelszczyzny i poza nią; nazwiska Jana Marka (dyrektora szkoły) Stanisława Strzyżyńskiego, Jarosława Oleśnickiego i Jerzego Kursy — są ogólnie znane bywalcom lubelskich sal wystawowych.

Pomimo przeszkód i trudności lokalowych — wspólnej bolączki wszystkich szkół plastycznych Lubelszczyzny — szkolnictwo to rozwija się z każdym rokiem, podnosząc swój poziom. Jednocześnie można zaobserwować tendencję wprowadzania do programów przedmiotów plastyki w jakimś sensie związanej z przemysłem, z pewnymi dziedzinami gospodarki krajowej. Wydaje się przy tym całkowicie uzasadnione dążenie do pewnej zmiany profilu Liceum Sztuk Plastycznych w kierunku większej specjalizacji i, co za tym idzie, umożliwienia tym szkołom wydawania dyplomów określających zawód absolwenta. Natomiast licea techniki plastycznych wydają się nie potrzebować poważniejszych reorganizacji, ponieważ całkowicie spełniają założenie: wykształcić dobrego fachowca coraz bardziej potrzebnego gospodarce krajowej.

Ireneusz Jan Kamiński

KONKURS MŁODEJ LITERATURY LUBELSKIEJ

W Roku Ziemi Lubelskiej, oraz w związku z obchodami XX-lecia PRL, Wydział Kultury PWRN w Lublinie, Lubelski Oddział ZLP, Wydawnictwo Lubelskie, Rada Okręgowa ZSP, KW ZMS, ZW ZMW, oraz Wojewódzki Dom Kultury w Lublinie ogłaszają konkurs na opowiadanie i wiersz.

Do konkursu mogą przystępować mieszkańcy województwa lubelskiego, którzy nie należą do Związku Literatów Polskich oraz nie są członkami Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Utwory w czterech egzemplarzach maszynopisu opatrzone godłem, nadsyłać do siedziby konkursu, należy nadsyłać w nieprzekraczalnym terminie 30 maja 1964 r. pod adres: Wojewódzki Dom Kultury, Lublin — Zamek, z dopiskiem Konkurs Młodej Literatury Lubelskiej.

Ilość nadsyłanych prac jest nieograniczona, z tym jednakże zastrzeżeniem, że opowiadanie nie może przekraczać 20 stron maszynopisu.

Przesyłka powinna ponadto zawierać nazwisko, adres, wiek i zawód autora, znajdujące się w oddzielnej zaklejonej kopercie opatrzonej godłem.

Organizatorzy konkursu przewidują nagrody:

- Za opowiadanie:
 - I nagroda — 1.500 zł
 - II nagroda — 1.000 zł
 - III nagroda — 750 zł

- W dziedzinie poezji:
 - I nagroda — 1.000 zł
 - II nagroda — 750 zł
 - III nagroda — 500 zł

oraz wyróżnienia książkowe.

Przewidziana jest także specjalna nagroda za utwór związany z problematyką XX-lecia PRL.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród.

Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w pierwszej połowie czerwca 1964 r. i połączone będzie z wieczerem autorów nagrodzonych opowiadaniem oraz z turniejem jednego wiersza.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo dyspozycji pracami nagrodzonymi oraz pierwszeństwo ewentualnej publikacji prac nadesłanych.

upłynęło przepisowych 90 minut, prelegent z ulgą skończył, słuchacze potarli z czoła, a ten i ów obudził się nawet zaskoczony nagłą ciszą. Przyszedł czas na pytania. Było tylko jedno:

— Proszę pana, a czy my prędko na tego Marsa polecim?

Podobno prelegenta omal krew nie zalała, czemu się nie dziwię. Ale nie dziwię się i słuchaczom, bo prelegent należy do kategorii „dygresjonistów” i nie dałbym głowy, czy nie „doleciał” od Karola Marksa do lotów międzyplanetarnych sam tego nie dostrzegając.

Inny prelegent mówił kiedyś o Polsce przedwrześniowej, o wyzysku, o burżuazji. Mówił m. in. bardzo dużo o tym, jak to fabrykanci, obszarnicy, bankierzy przegrywali w karty miliony w Monte Carlo, w Sopocie, w domach gry w Warszawie. Jak to w jedną noc przegrywali tyle, ile robotnik przez całe życie nie zarabiał, jak to na jedną kartę stawiali folwarki i przegrywali.

Po odczycie pytań nie było. Była tylko jedna uwaga:

— Ja tak sobie myślę, panie prelegencie, że ci burżuje tak przegrywali, bo im pewnie karta nie szła...

Jesteście zdania, że te anegdoty nie wiążą się z tematem? Hm, bo ja wiem? Całkiem pewien to ja tego nie jestem.

Ryszard Kraśko

dzinie doświadczenie. Dyskusje z nimi, recenzje utworów młodych okazały się na pewno cenniejsze, aniżeli jedna czy dwie publikacje. Do tego wszystkiego potrzebny jest właśnie KKMP, którego zadaniem jest nie tylko ułatwienie młodzieży publikacji, ale i utrzymanie kontaktu z członkami Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Dziennikarzy.

W Klubie lubelskim od czasu jego powstania do dnia dzisiejszego odbyły się dwa spotkania. Jedno poświęcone sprawom młodej prozy polskiej i prelekcją Henryka Berezę, drugie zagadnieniom poezji z referatem Stanisława Gróchowca. Na obydwóch wywiałą się ożywiona dyskusja. Większość zebranych odbyła także rozmowy osobiste z literatami.

W tej chwili lubelski KKMP liczy 29 członków, z tego 17 jest z terenu województwa. Ludzie mieszkający o przeszło sto kilometrów od Lublina starają się utrzymać kontakt z bieżącymi zagadnieniami swojego „hobby”. Ułatwia się im to w dużym stopniu przez zwracanie kosztów podróży i noclegu. Jest to wielka zasługa obu patronów Klubu: Domu Kultury na Zamku i ZW ZMW.

Ogarniając spojrzeniem pierwsze miesiące istnienia KKM-u w Lublinie trzeba stwierdzić, iż w Klubie tym widać chęć pracy, nie tylko chęć — widać już konkretną pracę. Oby tak tylko było dalej, oby nie było rozczarowań, jak w wielu KKM-ach w Polsce.

Andrzej Zabierowski

*) „Nad Nidą” — Almanach Ziemi Kieleckiej — Wydawnictwo Łódzkie 1963 r., stron 127.



DWUDZIESTOLECIE Polski Ludowej będzie okazją dla dokonania wielu obrachunków, syntez i podsumowań. Pojawily się zresztą już pierwsze takie próby. W „Przełkadle Humanistycznym” J. Krzyżanowski publikuje szkic pt. „Plon wydawniczy dwudziestolecia 1945—1964. Odbudowa warsztatu polonistycznego”. Po przedstawieniu i wyliczeniu poszczególnych osiągnięć zamyka autor swój artykuł uwagami ogólnymi:

„...powiedziałbym, że polonistyka nasza w okresie lat dwudziestu podjęła i wykonała prace zdumiewające, odrabiając wieloletnie zaległości i naprawiając szkody wojenne. Ze nadto stworzyła umiałą, zasobną, dobrze przygotowaną kadrę pracowników młodszych, która na pewno nie zbroczy z drogi, którą w przegładzie dotychczasowym rysuje się zupełnie wyraźnie”.

„Kultura” drukuje interesujący artykuł J. Z. Jakubowskiego zatytułowany „Tradycja Zeromskiego”. Autor nawiązuje, do niedawnych wypowiedzi nauczycieli-polonistów o kryzysie współczesnej recepcji tego pisarza, o jego — jakoby — rozmiłowaniu się ze współczesnością. Próbuje sprawdzić, czy ten sąd ma pokrycie w utworach pisarza, chce znaleźć odpowiedź na pytanie, czy tradycja Zeromskiego jest żywa, czy martwa. W trzech sprawach widzi Jakubowski aktualność Zeromskiego: jako pisarza polskiej racji stanu, jako autora wizji nowoczesnej Polski oraz jako pisarza twórczego niepokoju moralnego.

Moda na specjalne, monograficzne niejako numery tygodników kultural-

nych trwa nadal. Kolumny poświęcone poszczególnym województwom stanowią ich wizytówkę, prezentację, a nie trybunę. Ale dobra jest i taka wstępna penetracja. Można choć trochę dowiedzieć się, co i gdzie ciekawego słysząc. „Życie Literackie” wzięło tym razem na warsztat zaprzyjaźnione i współpracujące z nami województwo. Na tych łamach sprawy białostockie były nieraz prezentowane przez miejscowych publicystów, niemniej kilka pozycji „Życia Literackiego” godne jest uwagi. Ryszard Kraśko w reportażu „Stajemy się miastem” pisze o powojennych perypetiach Białegostoku, o procesie ewolucji od „wojewódzkiej wsi” do punktu określonego tytułem:

„Proces „stawania się miastem” w sensie przeobrażeń urbanistycznych jest już w Białymstoku faktem dokonany, proces zaś dopasowywania się jego mieszkańców do tego nowego kształtu przebiega w sposób gwałtowny i burzliwy. To, co w innych dużych miastach kształtowało się w ciągu wieków, tu rodzi się w ciągu lat. Tempo, w jakim się dokonują te przeobrażenia, sprawia, iż wszelkie zjawiska, dodatnie i ujemne, zarysowują się tu ostrzej niż gdzie indziej. Stąd kontrasty, śmieszności i błędy towarzyszące nieodłącznie każdemu procesowi tworzenia”.

Całościową problematykę województwa białostockiego przedstawia w wywiadzie sekretarz propagandy KW PZPR w Białymstoku W. Mikulski. Wskazał on na ogromne różnicowanie etniczne i obyczajowe tego województwa oraz na gospodarczy, ściśle wybitnie rolniczy charakter jego. Województwo ma i piękne osiągnięcia, choćby trzecie miejsce w kraju pod względem czytelnictwa. Znany z łamów „Kamień” A. Gabrusiewicz w artykule „Kupą mości panowie” omawia powstanie i rezultaty unii międzywojewódzkiej, wskazuje na obustronne korzyści, szczególnie na możliwości publikacji autorów białostockich w „Kamieniu” i Wydawnictwie Lubelskim. Autor wyraża żal, że dotychczasowa wymiana ogranicza się tylko do dziedziny kulturalnej, choć na początku mówiło się o potrzebie rozszerzenia kontaktów turystycznych, o czym teraz glucho. Niemniej dwuletnie doświadczenia są pozytywne.

T. K.

Drzazgi społeczne

CZARNA PLAMA

WDZIENNIKU warszawskim czytamy na pierwszej stronie: „Ofensywa czystości na powitanie wiosny”.

W Lublinie w sklepie w Krakowskim Przedmieściu widnieje slogan: „Piękno miasta zależy również od twego udziału w czynie społecznym”.

Każdy normalny człowiek pragnie na pewno, aby jego miasto było czyste i piękne. Dlatego pilnie rozgląda się po ulicach, zagląda do zakamarków, lustruje, tak prywatnie, place i skwery.

I ja to czynię. A podnieję znajduję w hasłach i sloganach.

Sprawa czystości miasta staje się tym bardziej aktualna w bieżącym roku, roku XX-lecia. Na pewno wielu turystów przyjedzie do Lublina i to nie tylko z innych miast, ale i z zagranicy.

Jak Cię widzą tak Cię piszą — mówi znane przysłowie. I słusznie. Chcielibyśmy, aby nas widzieli jak najlepiej no i pisali również. I wspominali tużdzie.

Rozglądam się więc bacznie i smutno mi Boże!... Dużo śmieci leży na chodnikach. Dużą ich ilość kręcą wietrzyki nad jezdniami. Szczególnie nieprzyjemne wrażenie wywierają odzinki przed budynkami instytucji.

Skończyła się co prawda zimowa makabreska, dużo śmieci spłynęło wraz z topniejącymi śniegami, ale nie wszystko. No i nowych przybyło.

Tak rozmyślałem i na jednej z ulic przedmieścia natykam się na tuman czarnego pyłu. Wieje dość silny wiaterek i unosi węglowy pył, który powstaje wskutek zrzucania na chodnik z platformy kilku ton przywiezionego węgla.

To zrzucanie węgla na chodniki stało się czynnością niemal rytualną.

W okresie zwiększonych przydziałów raz po raz na każdej ulicy, wylączając Krakowskiego Przedmieścia, różni furgoniarze, motorowi i konni, zwalają bryły „czarnych diamentów” pod nogi przechodniom. Jest to widok, którego na pewno nie znają miasta europejskie.

Właśnie gdy bronisz swoich nozdrzy i oczu przed pyłem węglowym na ulicy zjawiają się dwaj milicjanci. Widząc, że idą służbowo. Białe palki gumowe przy boku. Miny marsowe. Jeden nawet potyka się o czarna bryłę, ale nie zwraca na to uwagi. Nie ma żadnych wątpliwości, że wszystko jest w porządku.

Potem ci, co kupili węgiel, kubłami znoszą go do piwnic. Na ulicy pozostaje czarna plama, czekając aż liśtościwy deszcz... itd.

(Kwas)

KRONIKA KULTURALNA

LUBLIN

Z OKAZJI 19 ROCZNICY podpisania Układu o Przyjaźni, Pomocy i Współpracy między Polską i ZSRR oraz 91 rocznicy urodzin W. I. Lenina odbyła się 21.IV w sali Domu Technika uroczysta akademii wojewódzka.

PONAD 300 ZESPOŁÓW na terenie Lubelszczyzny stanęło do turniejów środowiskowych i powiatowych Wielkiego Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Amatorskich z okazji Tysiąclecia Państwa Polskiego i XX-lecia PRL. Z 17 zespołów, które dotarły do Turnieju Wojewódzkiego, trzy pierwsze miejsca zajęły: zespół Powiatowego Domu Kultury w Krasnymstawie za pracę nad sztuką L. Herdegana i J. Stwory „Pies, wilk i my”, zespół PDK w Bilgoraju za pracę nad sztuką Sławomira Mrożka „Śmierć porucznika” i zespół WDK w Lublinie za pracę nad sztuką Sławomira Mrożka „Indyk”. Nagrodzeni indywidualnie za pracę z zespołami zostali działacze kulturalni: Michał Białowas, Aniela Dudekova, Jan Gatecki, Edward Gardias, Tadeusz Giedroń, Jerzy Karłowicz, Tadeusz Meissner, Jan Mikolajczuk, Bolesław Resch, Maria Sekula

Państwowy Teatr im. J. Osterwy

gra z dużym powodzeniem „Makbeta”, wystawionego na 400-lecie urodzin Szekspira. Na zdjęciu: Teresa Mikolajczuk (Lady Makbet) i Stanisław Mikulski w roli tytułowej.

Recenzję (płórn M. Bechcyc-Rudnickiej) zamieścimy w następnym numerze „Kamienia”.



I Czesław Terecha — po większej części nauczyciele. Wreczenie nagród laureatom odbyło się 19.IV w WDK. Uroczystość zagal kierownik Wydziału Kultury PWNR, Edward Nadulski, Przewodnicząca wojewódzkiego jury, p. Alcja Rostanska, przedstawicielka Centralnego Komitetu Organizacyjnego Festiwalu, scharakteryzowała pokazane na turnieju wojewódzkim wyniki pracy, omawiając repertuar, poszukiwania inscenizacyjne, kulturę wykonania.

W DNIACH 20—22 ODBYŁA SIĘ W LUBLINIE konferencja przedstawicieli czterech województw: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego, zorganizowana przez Zarząd Muzeów i Ochrony Zabytków, wydział kultury PWNR wymienionych województw, Muzeum Lubelskie i muzea regionalne. Narada poświęcona sprawom muzealnictwa, miała m. in. na celu omówienie współpracy towarzystw społeczno-kulturalnych z muzeami regionalnymi. Na konferencję przybył prof. dr Stanisław Lorentz, dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie, i mgr Mieczysław Pałnisk, dyrektor ZMIOZ.

W POŁOWIE KWIEŃNIA OBRADOWAŁ W Lublinie III Walny Zjazd Wojewódzki Związku Teatrów Amatorskich.

STUDIUM KULTURY TEATRALNEJ WDK w Lublinie zorganizowało w związku z 400-leciem urodzin Williama Shakespeare'a „Tydzień Szekspirowski”, w czasie którego zazerowano dla uczestników, Studium spektakli „Makbeta” w Teatrze im. J. Osterwy oraz wyświetlono kilka wybitnych filmów fabularnych i dokumentalnych związanych z twórczością Shakespeare'a. Ponadto staraniem WDK wygłosił prelekcje: Bogdan Korzeniowski, Jerzy Sito, prof. dr Władysław Tatarakiewicz, Konstanty Puzyna i K. T. Toeplitz.

W LUBLINIE ZAKOŃCZYŁ SIĘ KONKURS MŁODYCH POETÓW zorganizowany w ramach ogólnopolskiego turnieju „Młode talenty na złot” pod hasłem „Moja ojczyzna i ja”. Do konkursu zgłosiły się 43 osoby, w tym 28 spoza Lublina. Jury konkursowe, składające się z przedstawicieli Lubelskiego Oddziału ZLP, lubelskiej Rozgłośni Polskiego Radia, KW ZMS i ZW ZMW — przyznało nagrody pięciu młodym poetom. Są to: Roch Szczała, pracownik DK w Parzewie, Krystyna Makula, studentka psychologii z Lublina, Andrzej Ciba, uczeń Technikum Mechanicznego w Krańniku, Jarosław Andrzejuk, student weterynarii w Lublinie, Ryszard Kornacki, nauczyciel z Międzyrzecza. W następnym numerze „Kamienia” zamieścimy wiersze laureatów.

BIAŁYSTOK

OGÓLNOPOLSKI KONKURS ZG ZMW, KC ZMS i Redakcji Młodzieżowej Polskiego Radia przyniósł zgłoszenia ponad trzydziestu młodych ludzi próbujących sił w poezji.

W DNIACH 9—30 MAJA OTWARTA BĘDZIE w Białymstoku wystawa medalii Barbary Romańczuk, plastyczki mieszkalnej stale w Olsztynie. Autorka przedstawia 85 medalii i medalionów w metalu. Warto dodać, że jest to pierwsza tego typu wystawa w Białymstoku. Następną ekspozycją przygotowaną przez CBWA będzie wystawa grupy plastyków Okręgu Warszawskiego ZPAP.

KIELCZE

TEATR IM. S. ZEROMSKIEGO gra na scenie kieleckiej „Anię z Zielonego Wzgórza” L. M. Montgomery, w reżyserii A. Dobrowolskiego i scenografii J. Golki. Na scenie w Radomiu, Mollier „Szkoła żon”, w sprawie plastycznej i reżyserii S. Cegielskiego. Teatr przygotowuje „Hamleta” W. Szekspira, w reżyserii Z. Dąbrowskiego i scenografii Z. Pietrusińskiej. Z INICJATYWY WOJEWÓDZKIEGO KOMITETU FJN w Kielcach, dla uczczenia

stuletniej rocznicy urodzin Stefana Zeromskiego — w dniach 28, 29 i 30 maja br. odbędzie się w Sw. Katarzynie, Zjazd ZLP. Przy tej okazji w dniu 28 maja, KW ZMS i Wydział Kultury PMRN w Kielcach, organizują „Dzień Literatury Polskiej”, na który złoży się spotkanie pisarzy z czytelnikami w szkołach, zakładach pracy i klubach. Jednocześnie odbędzie się kiermasz książki.

W OGÓLE, TRZEBA PODKREŚLIĆ ogromne wzmoczenie odwiedzin Kielc przez literatów. Ostatnio, na spotkaniach byli: W. Jazdyński, W. Maciąg, M. Bechcyc-Rudnicka, W. Bartelski, dr J. Polomski, J. Przyboś, J. Koprowski, S. Otwinowski, S. Bygat, J. Putrament. Spotkania z pisarzami i literaturoznawcami wszędzie przebiegały przy dużej frekwencji, w miłej atmosferze, co świadczy o dużym zainteresowaniu środowiska problemami warsztatu pisarskiego i polskiej literatury współczesnej.

24 KLUBY KIELECKIE zostały poddane ocenie Egzekutywy KM PZPR. Ocena ta podkreśla właściwą działalność klubów „Łączność”, „Wiedza”, „Nauczyciele”, „Dziennikarzy” i „Budowlanych” stwierdzając jednocześnie, że nie wszystkie jednak pozostałe mogą się wykazać właściwym trybem działania. Ogólnie, działalność klubowa w Kielcach, bardzo ożywiła zainteresowania kulturalne miasta.

ART. PLASTYK H. PAPIERNIAK, przedstawił drugą wystawę swych prac malarskich i graficznych na spotkaniu w Klubie Dziennikarza. Jest to kolejna z 11 wystaw indywidualnych, zapowiedzianych na rok 1964 przez Zarząd Okręgu Kieleckiego - Radomskiego ZPAP. Współorganizatorami tych wystaw są BWA, Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Kielcach oraz Wydział Kultury PMRN w Kielcach.

RZESZÓW

Z OKAZJI TYGODNIA TEATRU W RZESZÓWIE, małych miasteczek i wsiach województwa odbyło się szereg spotkań aktorów Państwowego Teatru im. W. Siemaskowej ze społeczeństwem, mającym na celu zacieśnienie więzi łączącej naszą scenę z widzami.

W ZWIĄZKU Z OBCHODAMI Międzynarodowego Dnia Teatru w foyer Państwowego Teatru im. W. Siemaskowej czynna był wystawa obrazów oraz projektów scenograficznych Józefa Szajny, dyrektora i kierownika artyst. Teatru Ludowego w Nowej Hucie. 3.IV. odbyło się interesujące spotkanie z autorem eksponowanych prac.

Unia

KSIAŻKI NADESLANE

PRZEZ PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Pięćdziesiąt lat twórczości Marii Dąbrowskiej — referaty i materiały sesji naukowej pod redakcją Ewy Korzeniowskiej, Warszawa, 1963, wydanie pierwsze.

Karl Mundstock — Słońce o północy, opowiadania wybrane, przełożyła Maria Kłogwidzka, Warszawa, 1963, wydanie pierwsze.

Jurij Nagibin — Nocny gość, wybór opowiadań, przełożyli Alcja i Anatol Sternowie, Warszawa, 1963, wydanie pierwsze.

Carson McCullers — Gość weselny, przełożyła Agnieszka Gliniczanka, Warszawa, 1964, wydanie pierwsze.

Piotr Grzegorzecy — Lew Tołstoj w Polsce, Zarys Bibliograficzno-Literacki, Warszawa, 1964, wydanie pierwsze.

Helena Bobińska — Pamiętnik tamtych lat, Warszawa, 1963, wydanie pierwsze.

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena” • Redaguje Kolegium • Redaktor naczelny Maria Bechcyc-Rudnicka, sekretarz redakcji Zygmunt Mikulski • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 7 • Telefon 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. z 12, półrocznie z 24, rocznie z 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu”, zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 1 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicą: kwartalnie z 16,80; półrocznie z 36,40; rocznie z 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch”, Warszawa, ul. Wilcza 46. Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch” Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa. Zam. 1274. 15.IV.64 R-3